BIBLIOTEKA Instytutu Badań Literackich PAN
P.III. 255

Dziś 16 stron **Cena numeru 60 groszy**

OBRONA KULTURY

WOLNOŚĆ TWÓRCZOŚCI DUCHOWEJ. NAUKA. OŚWIATA. LITERATURA. SZTUKA. WOLNE ZAWODY

Telefon 9-98-44 WYCHODZI NA 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA Konto P.K.O. Nr 20621

Nr 4 Warszawa, 15 lutego 1939 r. Rok II

WŁADYSŁAW DEPTUŁA

PIUS XI

Świat stanął w obliczu wielkiego wydarzenia: odszedł Sternik Nawy Piotrowej, znakomity mąż stanu, wielki miłośnik ludzkości. Wieść, która przed kilkoma dniami na falach eteru obleciała świat cały, napełniła smutkiem i żałobą nie tylko Kościół katolicki, ale i cały świat cywilizowany. Pius XI bowiem należał do tych papieży, którym ludzkość wiele zawdzięcza. O doniosłości pontyfikatu Piusa XI dla ludzkości świadczyć mogą choćby idee przewodnie Jego chwalebnych rządów Kościołem.

Czasy, w których wstępował na tron papieski Kardynał Ratti, nie należały do najszczęśliwszych. Po wojnie światowej zabliźniały się dopiero rany Europy. Z trudem sklejony gmach pokoju międzynarodowego chwiał się w swych posadach, a wojenne hałasy odzywały się jeszcze w Europie. We wszystkich krajach, jak to sam opiniuje Pius XI, gdzie toczyła się wojna, dawne nienawiści bynajmniej się nie uspokoiły; przejawiają się one skrycie w intrygach politycznych, w sposób zamaskowany w działaniach, zmieniających wartość pieniądza, otwarcie w pismach codziennych i periodycznych; przedostają się do dziedzin, które same przez się winny stać poza walkami nienawiści, jak sztuka i literatura. W ten sposób wzajemna nieprzyjaźń i nieporozumienia między państwami uniemożliwiają ludziom oddychać spokojnie. Ale nie dosyć na tym.

Niepokój międzynarodowy przenosi się do życia poszczególnych narodów i państw. W życiu społecznym wywołuje on zamęt, powoduje walkę klas, roznamiętnienie polityczne, szukanie w polityce własnych interesów miast pracy dla dobra powszechnego. Skutki rozprzężenia i niepokoju społecznego przenoszą się do życia jednostek, powodując wielkie spustoszenia: zanik wartości moralnych, upadek rodzin, paczenie młodych pokoleń. W dziedzinie myśli ludzkiej nie mniejszy panował zamęt.

I w takich warunkach Ojciec Święty Pius XI na wstępie swego pontyfikatu w pierwszej swej encyklice „Ubi arcano Dei" rzuca w świat potężne hasło: „Pax Christi in Regno Christi" — Pokój Chrystusowy — w Królestwie Chrystusowym, hasło pokoju nie tylko w stosunkach międzynarodowych, ale również w życiu narodów i państw oraz pokoju w duszach ludzkich.

„Pierwsze zadanie, jakie się narzuca — pisze Pius XI w powyższej encyklice — to uspokojenie dusz. Nie wiele bowiem pomoże ten pokój zewnętrzny i powierzchowny, który ustanawia i normuje stosunki między ludźmi na podstawie pewnej uprzejmości; potrzeba pokoju, który przenika i uspokaja umysły, który je nagina do życzliwości braterskiej i w tej życzliwości przechowuje. Takim pokojem może być tylko pokój Chrystusowy."

W encyklice „Quas primas" rozwija dalej Papież ideę tego Bożego Królestwa — „Królestwa Prawdy i Życia, Świętości i Łaski, Sprawiedliwości, Miłości i Pokoju".



Gdy na horyzoncie świata pojawiają się łuny wojen, Papież wytęża wszystkie siły, aby wojnę zażegnać, łagodzić jej okrucieństwo, a wobec tych, którzy myślą o wojnie zaczepnej, nie waha się rzucić gromkich słów psalmisty: „Dissipa gentes quae bella volunt".

Te dążenia Papieża do utrzymania pokoju oceniał cały świat cywilizowany.

Pracę pokojową rozwinął Pius XI we wszystkich dziedzinach swej działalności. Paktami Laterańskimi z lutego 1929 r. usunął od dawna istniejące zerwanie stosunków między Stolicą Świętą a Królestwem Włoch. Z gestem właściwym wielkim ludziom zrezygnował ze swych praw do Państwa Kościelnego. Zatrzymał sobie tylko to, co Mu było potrzebne do niezależnego spełniania swego Urzędu. Przestał być „więźniem Watykanu".

Pragnąc, by Kościół mógł w całej pełni spełniać swe dziejowe posłannictwo i utrwalać pokój między narodami i jednostkami, wytężał Papież swe wysiłki, by ułożyć jak najlepsze stosunki między Kościołem, a poszczególnymi państwami. Owocem tej Pracy Piusa XI jest cały szereg konkordatów, które za swego pontyfikatu pozawierał. Wystarczy wspomnieć o konkordatach: łotewskim, polskim, litewskim, francuskim, włoskim, portugalskim, niemieckim, austriackim, rumuńskim, jugosłowiańskim i t. p.

Dalszy etap pontyfikalnej działalności Piusa XI to wzmożona działalność nad pobudzeniem i spotęgowaniem życia katolickiego w Kościele, tak w dziedzinie duszpasterskiej, jak i społecznej. Kapłanom daje Papież wspaniałe wskazówki do pracy (enc. „Ad cath. sacerdotii") i szeroko zakreśla im zakres ich pracy duszpasterskiej. Dążąc do pełnego realizowania swego hasła pontyfikalnego, powołuje do życia w Kościele nowe środki i pomoce. Praca duchowieństwa już nie wystarcza, wciąga przeto Pius XI do ścisłej współpracy z hierarchią rzesze świeckich katolików dla obrony zasad religijnych i moralnych, rozwoju pożytecznej akcji społecznej poza i ponad partiami politycznymi i szerzenia zasad katolickich poprzez wszystkie dziedziny życia i kultury. Powołuje do życia Akcję Katolicką, która ma być przedłużeniem ramienia Kościoła. Akcja katolicka staje się „źrenicą Jego oka". Dając świeckim wielkie zadania, wskazuje im również Papież nowoczesne środki do tej pracy. Całą pracę ujmuje w ryzy organizacyjne, aby stanowiła „aciem bene ordinatam". Po siedemnastu latach rządów Papieża umiłowane Jego dzieło staje się dużą siłą. Przerabia dusze ludzkie, budzi je ze śpiączki, rozbudza zapał apostolski i ofiarność czynu, wytwarza poczucie solidarności katolickiej i szlachetną ambicję pracy dla Kościoła i swego narodu.

Dążąc do pokoju, nie szukał Pius XI pokoju za wszelką cenę. Domagał się i żądał, aby świat katolicki usuwał te wszystkie przyczyny, które powodują zamęt i nienawiści klasowe. Toteż w swym liście pasterskim z października 1931 r. zwraca uwagę na ciężkie przesilenie gospodarcze, wzrastające bezrobocie i na wzmożone tempo zbrojeń, a w sławnej swej encyklice „Quadragesimo Anno" nie tyko podaje zdrowe zasady życia gospodarczego, lecz wskazuje drogi, po jakich ma iść jego rozwój i konieczne reformy ustrojowe życia gospodarczego.

Za rządów Piusa XI do głosu dochodzą nowe teorie państwowe, podporządkowujące bezwzględnie jednostkę władzy państwowej i czyniące z człowieka bezduszne kółko w machinie życia państwowego. Przeciwko tym niebezpiecznym dla rozwoju życia religijno - moralnego doktrynom występuje Pius XI z całą bezwzględnością. Gdy wynikł konflikt z faszyzmem o wychowanie młodego pokolenia, Papież nie tylko wydaje sławną encyklikę „Illius Divini Magistrii", stanowiącą „Magna charta" w dziedzinie pedagogii katolickiej, ale broni prawa Kościoła i rodziny przed zakusami totalizmu państwowego (encyklika „Non abbiamo bisogno"). Gdy w Niemczech dochodzi do głosu neopoganizm germański i następuje ucisk Kościoła i sekularyzacja szkoły, Pius XI w encyklice do całego świata katolickiego „Mit brennender Sorge" wskazuje błędy narodowego socjalizmu i broni Prawdy Chrystusowej. Gdy nad Europą unoszą się łuny czerwonego bolszewizmu, wciskającego swe macki we wszystkie dziedziny życia ludzkiego, Pius XI w encyklice „Divini Redemptoris" demaskuje obłudę komunizmu, wykazuje jego fałsz i wskazuje sposoby przeciwdziałania. Z całą bezwzględnością stawał Pius XI w obronie uciśnionego Kościoła w Meksyku, Rosji i czerwonej Hiszpanii.

(Dokończenie na str. 2-ej)

http://rcin.org.pl

Niech kultura nie liczy zbytnio na „plecy"

a niech się uzbroi w „łokcie"

Może ten nagłówek wydać się komuś zbyt krzykliwym, nie licującym z powagą zagadnienia, które chcemy poruszyć, a więc zaprzeczającym hasłu kultury, które w organie naszym wywieszamy. Z całą świadomością tego formalnego grzechu użyliśmy wyrazów anatomicznych, które weszły w przysłowia, a to dlatego, że chcielibyśmy, by nasz artykuł był krzykiem, nie zaś łagodną dysertacją.

Warunki ogólne po wojnie i przy wznoszeniu zrębów nowej naszej państwowości, najrozmaitsze okoliczności i względy wady organiczne społeczeństwa, a może wypadkowość roli pewnych ludzi czołowych — mniejsza o przyczyny — sprawiły, że w Polsce, ale do pewnego stopnia i w całym szeregu innych państw, o nowych orientacjach strukturalnych, **ośrodki kultury narodowej zatraciły sprawność swoich kręgosłupów.** Nie jest to zarzut ubliżający, tak, jak nie jest obrazą powiedzieć człowiekowi, że kości jego mają w danej chwili mało wapna czy fosforu i zatem straciły na sile oporu. Niedomaganie nie jest przestępstwem. Stać się nim można wówczas, gdy człowiek lekceważy sobie niedomogę i nie chce jej usunąć. Wywiązuje się wtedy choroba, a taka choroba z lekkomyślności jest do pewnego stopnia przestępstwem wobec samego siebie i wobec społeczeństwa, wówczas bowiem jednostka, miast być pomocą, staje się ciężarem.

Wszędzie i zawsze rozwój kultury społeczeństwa szedł wysiłkami tegoż społeczeństwa i jego wielkich, a przynajmniej wybitnych jednostek. Rządy czy mecenasi prywatni opiekowali się kulturą, to prawda, ale zasadniczo przejawy kultury miały cechę „self made", powiedzmy — cechę samostwarzania.

I ta samodzielność wysiłku elementów kultury w społeczeństwach, a w polskim narodzie specjalnie, stanowiła o ich sile. Szczególnie właśnie u nas, gdzie, jak wiemy, rządy zaborcze raczej sprzeciwiały się wszelkim poczynaniom kultury narodowej, w najlepszym razie — jak pod zaborem austriackim — nie sprzeciwiały się, lecz zachowywały względnie życzliwą obojętność.

Od chwili odbudowania Państwa sytuacja zmieniła się radykalnie. Powstały władze polskie, tak bardzo wytęsknione, wyczekiwane, że nastrój ogólny był gotów przypisywać im moc cudotwórczą. Zrozumiałe to i naturalne. Tym nie mniej — niebezpieczne.

Postawione przed niezliczoną ilością problematów, natychmiastowo wymagających bohaterskich rozwiązań, władze polskie nie miały czasu zajmować się problematami, obliczonymi w swym rozwoju na całe wieki. Nauka, filozofia, literatura, malarstwo, rzeźba, muzyka, obyczajowość — któryż minister byłby zaprzątał sobie głowę takimi sprawami, gdy na porządku dziennym miał najazd bolszewicki, plebiscyty na wszystkich kresach, walkę Lwowa, najazd czeski, a potem inflację, potem przewroty ustrojowe r. 1926 i znów walkę z obezwładniającym życie kryzysem. Nie miałby się za ministra z prawdziwego zdarzenia. I miałby po stokroć rację.

Mecenasi stawali w kolejce potrzebujących wsparcia. I tak bywało. A kultura czekała i, oczywiście, słabła. Czekanie jest wyczerpujące. I tak wyczerpywały się siły. Kościec słabł. Nie mógł biec, ani nawet iść. Siadł.

I tak było nie tylko zresztą w Polsce. W wielu innych krajach podobnie.

A wyniki są te, że ośrodki kultury powoli traciły głos. Wegetowały. A gdy się spada do stanu wegetacji, wówczas instynkt samozachowawczy dyktuje jedyny możliwy program na dziś: **szukać oparcia, szukać „pleców".** I tak stopniowo ośrodki te wpadały w zależność od opieki, chwilowo niezbędnej. Ale opiekun zawsze ma wymagania i powiada: „ja jestem za ciebie odpowiedzialny, musisz tak robić, jak ci każę". A to nie jest wzmacniające. Dobry wychowawca nie prowadzi ciągle dziecka za rączkę. Powiada: „Nabij sobie parę guzów, a szybciej nauczysz się chodzić. Bo cóż to będzie za jeździec, który nie spadł nigdy z konia?

Kultura traciła głos. I sama pozbywała się stopniowo świadomości własnej swojej wielkiej siły twórczej i uzdrawiającej. Uczeni profesorowie przestali zabierać głos w sprawach najżywotniejszych. Nie słuchano ich zresztą. W niektórych krajach obchodzono się z nimi, jak z handlarzami narkotyków czy szmuglerami. Skazywano ich na banicję. Były kraje, z których poeci musieli uciekać. Cały szereg wielkich pisarzy współczesnych żyje na przymusowej emigracji. Byli i są filozofowie, których uznano za szkodników idei politycznych, panujących w danym okresie. Profesorów - fachowców, wielkich specjalistów pozbawiano katedr. Pewne kierunki w malarstwie wyeliminowano. Umyślnie nie wymieniamy krajów, bo każdy dośpiewa sobie tę smutną piosenkę.

I tak stopniowo zaczynało w życiu publicznym społeczeństwa brakować głosu ośrodków kulturalnych. W takich wypadkach życie dziczeje. Nie ma w tym przesady. Odbija się to na wszystkich dziedzinach życia. Od wielkiej polityki międzynarodowej do zachowania się ludzi na ulicy, w teatrze, czy tramwaju. Słabiutkie jakieś uwagi przygodnego felietonisty nie wiele poradzą. Dzieją się rzeczy brzydkie w funkcjach politycznych, społecznych, gospodarczych, które nie znajdują osądu akademii, instytutów, związków i organów kultury. Gdy zacząć o tym mówić na jakimś z tych terenów, pada słowo: „To nie nasza rzecz, nie znamy się na tym, mamy zaufanie do tych i tamtych, jesteśmy tylko sobą".

I to jest właśnie stan bardzo groźny dla kultury. Bo czy może istnieć dla przedstawiciela twórczości kulturalnej kraju rzecz obojętna? Czy wolno dziś nie znać się na najogólniejszych interesach kraju, czy ludzkości? Czy można mieć stuprocentowe zaufanie do ludzi omylnych? Czy być sobą nie znaczy także być wszystkim?

Kultura jest najbardziej rzeczywistą abstrakcją, bo jest strażnikiem ducha i moralności w najszerszym znaczeniu tego drugiego pojęcia celowości wysiłków ducha dla jego wznoszenia się, a nie upadania. **Więc wszędzie tam, gdzie widoczny jest próg, którego przejście grozi zawaleniem się w przepaść zakłamania, nienawiści, obłudy, — zjawisk duchowego załamania — tam winien się rozlegać donośny głos śmiałych bojowników kultury, głos protestu zbiorowego.** Nie przypuszczajmy ani na chwilę, że taki głos będzie wołającym na puszczy. Tak nie jest. Jeżeli za słowami stać będzie mocne przekonanie i wiara w to słowo, stanie się ono potęgą, przed którą muszą się ugiąć wypadki, jak słabsze drgania fal radiowych uchylają się pod parciem silniejszych i, skrzecząc obrzydliwie, zamierają stopniowo, dając miejsce tym silniejszym.

Taka postawa wymaga zmiany „polityki". Z „pleców" trzeba zrezygnować. I, niestety, trzeba się uzbroić w „łokcie". Używanie tego organu na rzecz interesów osobistych jest bardzo brzydkie, nieetyczne i niekulturalne. **Ale, gdy chodzi o rzecz publiczną, trzeba się mocno rozeprzeć, użyć odskoczni, wziąć rozmach i rozepchać ciżbę złych duchów łokciami. To będzie walka w obronie kultury.**

Jakże łatwo byłoby wysypać worek przykładów z naszego życia i nie naszego, z listy największych problemów państwowych, narodowych, ogólnoludzkich. Nie chcemy tego. Odzywamy się do szczytów naszych intelektualistów, do pracowników ducha, do wszystkich instytucji kultury polskiej. Zrozumieją nas, jeżeli zrozumieć będą chcieli, jeżeli szczerze uświadamiają sobie, że ich interesem jest interes kultury i staną po naszej stronie.

Trzeba nabrać odwagi, trzeba zrezygnować ze słodkiej opieki, trzeba się usamodzielnić, trzeba zejść w życie z piedestału wspaniałego odosobnienia, podeprzeć się łokciami i zabrać głos.

To byłby piękny start nowej epoki; dojścia do właściwej roli organów życia kultury dla dobra powszechnego. **Red.**

Źródło wiedzy o Polsce

Biblioteka Narodowa w Paryżu

W listopadzie ub. roku minęło 100 lat od chwili, gdy na posiedzeniu Wydziału Historycznego Polskiego Towarzystwa Literackiego w Paryżu zapadła doniosła uchwała przekształcenia dotychczasowego „archiwum narodowego" w *Bibliotekę Polską.*

Archiwum to, zainicjowane w swoim czasie przez *J. U. Niemcewicza,* miało za cel zgromadzenie odpisów najróżniejszych dokumentów, odnoszących się do Polski, a rozproszonych po licznych księgozbiorach nie tylko w Paryżu, lecz i w innych miastach Francji, a nawet w Londynie.

W parę miesięcy po rozpoczęciu tej pracy materiał, zgromadzony przez emigrantów polskich, okazał się tak bogaty, że zgrupowanie go w odpowiednim pomieszczeniu stało się koniecznością. Przeniesiony do lokalu przy ul. Duphot 10, stał się zalążkiem Biblioteki Polskiej, mieszczącej się obecnie *przy Quai d'Orléans 6,* a która od chwili swego powstania, choć przechodząca różne koleje losu, nie przestała odgrywać tej roli, jaką jej przeznaczyło w swej patriotycznej ambicji grono szlachetnych założycieli. Dość wspomnieć, że z jej zbiorów niejednokrotnie korzystali pisarze francuscy, jak np. Michelet, Mérimée i inni.

Dziś Biblioteka Polska, od r. 1892 pozostająca pod zarządem Polskiej Akademii Umiejętności, która w dn. 16 lutego 1935 otworzyła przy Bibliotece t. zw. *„Centre d'Etudes Polonaises",* przeznaczony dla cudzoziemców, pragnących pogłębić swą wiedzę o Polsce, jest najlepiej poza granicami Polski wyekwipowanym i działającym instytutem polskim, będąc równocześnie, co nie małym jest wyróżnieniem, jedną z najbogatszych bibliotek specjalnych Paryża.

Zbiory obecne obejmują:

Sekcję Druków (130.000 tomów w różnych językach, dotyczących kultury, historii, ekonomii, polityki i geografii Polski, m. in. kolekcja druków polskich XVI — XVIII w., 160 periodyków i przeglądów),

Sekcję Sztychów (9000 egz. XVI — XX w., pochodzenia polskiego i obcego, m. in. piękny obraz grawiur nowoczesnych),

Sekcję Rękopisów (1000 egz. XVII — XX wieku),

Kolekcję map Polski i Europy Wschodniej (2560 map i atlasów, XVI — XX w.),

Kolekcję medali i monet polskich (1700 sztuk),

Zbiór zdjęć fotograficznych.

Wspomniany „Centre d'Etudes Polonaises" organizuje wykłady i odczyty oraz wycieczki do Polski dla studentów, którzy wykazali się specjalnymi postępami w nauce. W r. 1935 przyznano 5 stypendiów na ten cel, w r. 1936 — 6, w r. 1937 — 9, wreszcie w r. 1938 — 10.

Jak widzimy, Biblioteka Polska nie zawiodła pokładanych w niej nadziei i dziś,, po stu latach swego istnienia, realizuje ten sam cel, jaki jej wówczas postawiono: jest *źródłem wiedzy o Polsce i godnym przedstawicielstwem jej kultury i cywilizacji.*

PIUS XI

(Dokończenie ze str. 1-szej)

Nic więc dziwnego, że współcześni, oprócz miana „Papieża Pokoju", nadali Mu nazwę „Papieża Akcji Katolickiej" i „Fides intrepida".

***

Przez 17 lat swego pontyfikatu stał Pius XI na straży kultury chrześcijańskiej, odpierając wszelkie zamachy ze strony materializmu neopogańskiego i bezbożnego komunizmu. Nie ograniczał się do walki, ale tworzył pozytywnie i utrwalał kulturę chrześcijańską. Sam wszechstronnie wykształcony i rozmiłowany w pracy naukowej szczególną troską otaczał Uniwersytety Katolickie i inne uczelnie teologiczne. Włochy zawdzięczają Piusowi XI wspaniały rozwój Uniwersytetu Najśw. Serca P. J. w Mediolanie. Konstytucją „Deus scientiarum Dominus" przeprowadza reformę studiów kościelnych, podnosząc je na wysoki poziom. W swych encyklikach i przemówieniach pobudza duchowieństwo do intensywnej pracy intelektualnej; przez działalność Akcji Katolickiej stara się podnieść poziom umysłowy świeckich katolików, zachęca ich do intensywnej pracy twórczej dla całej kultury chrześcijańskiej. W szczególny sposób interesował się pisarzami katolickimi i sprawą prasy. Na Jego żądanie zorganizowano wszechświatową wystawę prasy katolickiej w Watykanie. Pisarzom daje za patrona znakomitego pisarza i doktora Kościoła św. Franciszka Salezego. Wiele uwagi poświęcał Pius XI kinematografii. Spod Jego pióra wychodzi specjalna encyklika, poświęcona temu zagadnieniu.

Kulturalna działalność Piusa XI nie ogranicza się do świata cywilizowanego. Z wyżyn Stolicy Apostolskiej ogarniał cały świat. Nic więc dziwnego, że z całą gorącością popiera rozwój misji katolickiej. Jednocześnie ze światłem wiary rozszerzała się kultura i cywilizacja chrześcijańska. O dorobku pracy w tej dziedzinie świadczyć mogą nowe placówki misyjne, powstałe za czasów Piusa XI i tysiące szkół różnego stopnia w krajach misyjnych.

Za tę dziedzinę pracy Wielki Papież Pius XI zasługuje na wielką wdzięczność ludzkości.

***

Pisząc o Piusie XI, nie można pominąć Jego stosunku do Polski. Jego bowiem życie sprzęgło się z naszym krajem. Tu rozpoczął swoją karierę dyplomatyczną, tu w Polsce otrzymał sakrę biskupią. Był z nami w najważniejszych chwilach dla naszej Ojczyzny. Przeżywał z nami radość Zmartwychwstania, udrękę wojny, entuzjazm zwycięstwa. Przykładał swą rękę do budowania wielkiej, mocarnej Polski. Jako wizytator apostolski, a potem nuncjusz, organizował życie kościelne naszego kraju, opracowywał administrację kościelną Polski. Przy Jego współpracy powstały nowe metropolie: wileńska i krakowska, diecezje: łódzka, podlaska, łomżyńska, śląska. Wiele Mu również zawdzięcza nasza katolicka uczelnia akademicka — Uniwersytet Lubelski. Gdy opatrzność wyniosła Go na najwyższe stanowisko w Kościele, miłość Piusa XI nie osłabła ani na chwilę. Interesował się naszym Krajem, błogosławił wszelkim naszym poczynaniom, całemu Narodowi. Nawet na krótko przed śmiercią dał tego dowody.

Przez śmierć tego Wielkiego Papieża Kościół stracił swego Rządcę, ludzkość swego miłośnika, Polska swego przyjaciela. Ale pamięć Jego pozostanie na zawsze w naszym Narodzie.

Prof. Stanisław Wiechowicz

laureatem Państwowej Nagrody Muzycznej

Sąd konkursowy nagrody muzycznej ministra W. R. i O. P. w składzie: pp. rektor Eugeniusz Morawski, prof. Kazimierz Sikorski, prof. Władysław Raczkowski, prof. Bolesław Woytowicz, dr Stefan Lidzki-Śledziński, na posiedzeniu w dniu 10.II.1939 r. uchwalił większością głosów przyznać nagrodę prof. Stanisławowi Wiechowiczowi za całokształt działalności muzycznej.

Sąd konkursowy uwzględnił specjalnie zasługi prof. Wiechowicza, jako twórcy, który zwłaszcza w dziedzinie chóralnej tworzył dzieła o wyjątkowym i nieprzemijającym znaczeniu, oraz jako działacza społecznego i publicysty muzycznego, który w najtrudniejszych warunkach zachował śmiałość i mądrość sądu oraz wrażliwość na społeczne potrzeby muzyki i gorliwie pracował nad jej upowszechnieniem.

http://rcin.org.pl

F. A. OSSENDOWSKI

STAŁE IDEAŁY

W swoich „Przemowach do głuchych“ Guglielmo Ferrero pisze:

„Wszelkie znane nam okresy dziejów. wszystkie cywilizacje, wyprzedzające rewolucję francuską, wymagały od ludzi pewnej stałości ideału życiowego, jako rzeczy koniecznej i bezwzględnie obowiązującej“.

W okresie przeżywanym od r. 1914, a więc całe 25 lat, ćwierć wieku, samo życie, znajdujące się niezmiennie w równowadze niestałej, liczne błędy rządów europejskich i pozaeuropejskich doprowadziły ludzkość do stanu „przerostu energii“, według określenia F. Müller-Lyera, co znów stworzyło szereg nowych zagadnień, w ich zaś powodzi utonęły wszelkie „stałe“ ideały życiowe.

Czyż trzeba tego dowodzić?

Dość przypomnieć sobie pierwsze lepsze wzmianki o wojnie w Hiszpanii lub na Dalekim Wschodzie. Tysiące, a nawet setki tysięcy zabitych i rannych, zniszczone miasta, storturowana ludność... I tak dzień w dzień, przez cały rok! Właśnie w tym okresie najbardziej wyraźnie daje się odczuwać zanik ideałów, które uczyniły ludzkość potężną. Te tysiące zmasakrowanych ludzi, ta burzycielska robota, to poniewieranie wszelkich praw nie działają już na naszą wrażliwość i nie budzą żadnych uczuć i protestów. Wielka wojna z jej Verdunem, Antwerpią, Reimsem, Chemin des Dames, „melée de nations“ i wojną podwodną, a potem — pokłosie na Wschodzie Europy, tak przytępiły nasz system nerwowy,że z nim razem stępiał też instynkt kultury i zanikła potrzeba świata ideałów.

Giną tysiące ludzi w szalonej malignie wojny domowej — niech giną, nic to nas nie wzrusza! W gruzach leżą historyczne miasta, obojętnie przechodzimy obok tego faktu. Przypomina się wypadek z frontu wschodniego w r. 1917, kiedy wchodzący w skład armii rosyjskiej pułk Turkmenów — fachowych ludzi wojny, patrzących na nią jak na przedsiębiorstwo, stosując „prawo wojny“ zabrał spod Czerniowic jakieś gobeliny historyczne, jakąś broń zabytkową i przybył z tą zdobyczą do Petersburga. Ileż było hałasu w prasie, a że to hańba, a że wszystko natychmiast ma być zwrócone prawowitym właścicielom — Rumunom, którzy w owym czasie wyjechali gdzieś, chroniąc się przed surowym marszałkiem Mackensen‘em. W końcu całą tę zdobycz odebrano od jeźdźców azjatyckich i złożono w salach muzeum historycznego.

Wręcz inaczej wygląda ta sprawa w r. 1939.

Niedawno dzienniki podały do wiadomości, że podczas rewizji w barcelońskiej rezydencji premiera rządowców, p. Negrina, znaleziono klejnoty, zrabowane w pałacu królewskim i w bogatych skarbcach katedry toledańskiej.

Sensacja ta poruszyła nieco opinię publiczną, ale dlaczego? No, jakżeż?! Pan Negrin, szef rządu, „kulturalny“ i inteligentny „mąż stanu“ i raptem — zwykły rabuś, na krwi żołnierzy ginącej czerwonej armii, na zbrodniach oszołomionego bezprawiem i zrozpaczonego ludu robiący świetne interesy za przykładem tego czerwonego komendanta madryckiego Palacio Real i Caballerizas reales, który, ograbiwszy doszczętnie słynny relicario de la real capilla — skarbiec kaplicy pałacowej — i zabrawszy ze sobą gobeliny, wyniósł się za ocean, aby w Chile nabyć za kilka milionów peset piękną posiadłość ziemską.

W tym wypadku działa jedynie sensacyjność wiadomości, lecz treść jej pozostaje obojętna dla współczesnego... homo sapiens. Jeszcze od czasu do czasu rozważać zacznie ów materialista zagadnienie, który z sojuszników gen. Franco dostanie koncesje na miedź w dolinie Rio Tinto, kto — na rtęć w Almadenie, a kto — na rozbudowę portów i eksploatację Riffu?

Ale nikt nie zatroszczy się o skarby kultury, które zdano na łaskę i niełaskę losu i pozostawiono na pastwę bomb lotniczych, granatów i chciwych rabusiów wszelkich rang — od czerwonego premiera hiszpańskiego do ostatniego nicponia z przedmieść — włamywacza i nożowca!

Jakiż dziwny w tym tkwi fałsz!

Pisma francuskie, angielskie i amerykańskie całe szpalty poświęcają stratom, jakie ponoszą „stare Chiny“ od dział i bombowców japońskich. Illustrated London News, dodatki do dzienników amerykańskich, przepełnione są fotografiami z Kantonu, Hankou i Szanghaju, gdzie od pocisków cierpią przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, współczesne gmachy cudzoziemskie, nie zaś „chińskie starożytności“, gdyż te w architekturze chińskiej prawie nie istnieją z tego powodu, że dawniej budowano gmachy drewniane, które pożarł czas i ogień.

Ale o stratach kulturalnych Toledo, Barcelony, Sewilli, Madrytu pisze się na marginesie.

A przecież straty te są ogromne i niepowetowane. Niedawno jeszcze do dzienników wkradła się jak gdyby umyślnie opuszczana wiadomość, że w Ameryce Północnej i Południowej i w ZSSR na wolnym rynku zjawiła się już podaż obrazów Velasqueza, Murilla, Ribery i Goyi, pochodzących z jednego z najbogatszych muzeów świata — narodowego madryckiego na Prado. Po tej niedyskrecji prasowej, w celu sprostowania, obiegła cały świat depesza, że rząd narodowy posłał do Genewy na ręce Ligi Narodów 400 płócien z muzeum madryckiego na przechowanie.

Świetnie! Rząd narodowy dba o kulturalne skarby Hiszpanii!!

Taką reklamę robią Azanom, Negrinom, Caballerom i Passionariom dzienniki europejskie — istotnie za wyjątkiem niemieckich i włoskich. Nie dajmy się jednak otumanić! Przedwczesne są bowiem te zachwyty i te wyrazy uznania, gdyż bilans ostateczny będzie niezawodnie opłakany.

Bo jakżeż tam z tymi 400 obrazami, złożonymi w Lidze Narodów?

Katalog p. Pedro de Madrazo obejmuje 2317 numerów obrazów, a nie 400! Dzienniki genewskie wyliczają przysłane obrazy według ewidencji hiszpańskiej, która mówi o płótnach Fra Angelico, Cranacha, Goyi, El Greca, Tycjana, Van Dycka, Rembrandta, Tintoretta, Velasqueza, Rubensa, Murilla, Ribery.

Ci malarze mieli swoje sale w muzeum, ale przecież obrazy ich były też rozmieszczone po innych, o których nic nie wiemy. Sala prymitywów religijnych z obrazami Berruguette, Moralesa, Diego Correa, van Eycka, van der Weydena nie figuruje na liście przysłanych do Genewy obrazów, natomiast czytaliśmy nieraz o niszczeniu obrazów treści religijnej przez bezbożników madryckich i o tym też, że w Portugalii natrafiono na ślad przemytu obrazów z Hiszpanii. Dochodziły też wieści o wędrówce po Europie dwóch tryptyków van der Weydena i Memlinga, oznaczonych NN 870 i 911. Nic nie wiadomo o obrazach Cano, Raphaela, Zurbarana, Corregia „Nolli me tangere“, i Montegni, chociaż przed kilkoma miesiącami korespondent „Sun‘a“ stwierdził, że obrazy te widział w rękach prywatnych. Prasa włoska wyrażała obawę o los sali malarstwa weneckiego, gdyż w sierpniu roku 1938 NN 432 i 428 pędzla Tycjana nie oglądano już w tej sali wielkiej galerii, jeden zaś z obrazów Tiepola N 482 był widziany w sali rady miejskiej.

Taki jest stan rzeczy. Mam przeczucie, że o ile funta kłaków nie warte dla nas życie ludzkie i w żadnym wypadku nic nas nie obchodzi (45000 poległych nad Żółtą Rzeką! 120000 straconych w Hiszpanii!!), to na wieść o niebezpieczeństwie grożącym utworom najgenialniejszych malarzy, trwoga obudzi się w sercach najobojętniejszych nawet oportunistów. Muzeum na Prado — to tylko jeden skarbiec Hiszpanii, tymczasem nie wiemy, co się dzieje z innymi: pałacem królewskim, bazyliką Nuestra Senore de Atocha, Panteonem, katedrą Nuestra Senora de la Almudena, świątynią San Isidro, Armerią, muzeum historycznym i archeologicznym, Biblioteką Narodową z biblią biskupa Jana z Kordoby w. X i drugą z Avili w. XIII, modlitewnikiem Petrarki i innymi skarbami. Nie słyszymy nic o Eskurialu i klasztorze San Lorenzo z jego bogactwem arcydzieł sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej.

Nie wątpię, że współczesne społeczeństwo, samo pozbawione stałego ideału życiowego, poczuje strach o los wytworów geniuszu ludzi, którzy, opierając się o ów właśnie ideał, tworzyli swoje arcydzieła. Strach ten jest całkowicie uzasadniony. W Hiszpanii bowiem nie ma już nikogo, kto na wzór Fellahów i Koptów egipskich, ukrywających przed Arabami zabytki cywilizacji swego kraju, mógłby bronić i przechowywać zazdrośnie kulturalne skarby swej ojczyzny. Takich ludzi nie było w Hiszpanii i tymczasem nie ma, Skarby kultury i cywilizacji mogą obchodzić tylko szczyty, a więc arystokrację ziemiańską oraz inteligentne sfery mieszczańskie.

R. H. Towner w swoich utworach wskazuje z naciskiem, że kultura nie może się stać dobytkiem narodu, w którym istnieje niczym nie wypełniona luka pomiędzy dwiema krańcowościami: właścicielami obszernych posiadłości, a włościanami małorolnymi lub bezrolnymi. W czasie rewolucji lub wojny domowej pierwsi giną szybko, drudzy wykonywują bezmyślnie, niemal odruchowo — dzikie akty zemsty, niszcząc wszystko, co ich odwieczni wrogowie cenili najwięcej — życie, majętność, kulturę. Tak było w Rosji, tak jest w Hiszpanii i tak było w innych krajach. Ludzie, mający tylko jedyną tradycję zemsty, niszczyli tam wszelkie tradycje klasy wyższej, a więc wszystko, co dała kultura.

Można byłoby uniknąć tej klęski, gdyby istniało trzecie środowisko średnio zamożnych włościan mieszczaństwa. W tym środowisku przechowywałby się zawsze instynkt praworządności, ładu i pokoju — trzech warunków, niezbędnych dla rozwoju kultury i stałych ideałów życiowych. Zdawałoby się, że z doświadczenia „permanentnej“ rewolucji rosyjskiej i wojny domowej w Hiszpanii, nie sami tylko wojskowi powinni wyciągnąć niezmiernie doniosłe wnioski o użyciu tanków, samolotów i dział przeciwlotniczych, lecz także— socjologowie, prawodawcy i historycy.

Cywilizacja i kultura giną, jeżeli nie mają silnych i licznych obrońców, walczących o nie w imię trwałych ideałów życiowych. Pęd do rozmaitości, do ciągłych przemian, do przerostu energii nie jest oznaką kultury, raczej — rozpętaniem pierwotnych instynktów wzmożonych na sile wiedzą i techniką. Ta potężna i nieoględna siła burzy cywilizację lub w pośpiechu stwarza inną — niebezpieczną, jak twierdzi dr Carrel, dla istnienia ludzkości, fizycznie nie przygotowanej do przyjęcia tej nowej formy bytu. Wynik zawsze ten sam — zmiażdżenie głowy wielkiemu uczonemu i genialnemu malarzowi po to tylko, by dziełami pierwszego rozniecić ogień w piecu a porwany komuś ochłap mięsa owinąć w płótno Raphaela lub Velasqueza. I któż poradzi na to? Szał przerostu energii i dzicz zoologiczna, pozbawione trwałych ideałów, głuche pozostaną na słowa napomnienia. W ich pędzie ślepym i niszczycielskim tylko siła fizyczna lub klęska żywiołowa wznieść potrafi tamę. —

10-lecie Polskiego T-wa Neofilologicznego

Zjazd Nauczycieli Języków Nowożytnych

W pierwszej połowie lutego odbył się w Warszawie **II Zjazd nauczycieli języków nowożytnych** z racji **dziesięciolecia Polskiego Towarzystwa Neofilologicznego.** Zjazd nosił charakter naukowy.

Inauguracja zjazdu odbyła się w auli uniwersytetu J. P. Przybyło około 300 członków P. T. N. i nauczycieli języków nowożytnych. Na posiedzenie inauguracyjne przybyli również przedstawiciele władz szkolnych, uniwersytetu i zaproszeni goście, razem około 400 osób.

Obrady zagaił prezes P. T. N.**prof. U. J. P. dr. Zygmunt Łempicki,** przypominając, iż właśnie mija 10 lat od chwili, gdy w tej samej sali zebrał się I Zjazd (1 lutego 1929 r.) i gdy z inicjatywy **dr Jana Piątka** powstało Polskie Towarzystwo Neofilologiczne. Następnie przemawiali: w imieniu Ministerstwa W. R. i O. P. naczelnik **dr. Bolesław Kielski,** rektor Uniwersytetu J. P. **prof. dr Stefan Mazurkiewicz,** oraz **prof. dr Władysław Tatarkiewicz,** jako przedstawiciel bratniej instytucji nauczycielskiej, Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych. Po wyborze prezydium zabrał głos prof. Uniwersytetu J. K. we Lwowie **dr Zygmunt Czerny,** który w znakomitym odczycie **„O ustroju nauki języków obcych w Polsce“** przedstawił dzisiejszy stan nauczania języków nowożytnych, jego zasadnicze braki oraz wskazał postulaty na przyszłość. Potwierdzeniem niejako wywodów prelegenta były przemówienia przedstawicieli 3 różnych dziedzin nauki, którzy w bardzo ciekawych wywodach wskazywali na to, jak brak znajomości języków nowożytnych ujemnie wpływa na **studia medyczne** na uniwersytecie, jak ważną jest umiejętność porozumiewania się w języku obcym **w wojsku,** które obecnie zajmuje się samo dokształcaniem w tej dziedzinie, oraz jak brak tej znajomości fatalnie wpływa na **stosunki handlowe.** Wypowiedzieli się więc w tej sprawie dr. **Franciszek Czubalski,** profesor filologii na wydziale lekarskim Uniwersytetu J. P., **płk dypl. Tadeusz Tomaszewski,** naczelny komendant Legii Akademickiej, oraz **dr Jerzy Loth,** prof. geografii ekonomicznej w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie.

Po przerwie obiadowej rozpoczęły się wykłady naukowe profesorów Uniwersytetu J. P., **Jana Fabre** pt. „Les tendances du roman contemporain“ (po franc.), **Mieczysława Brahmera** p. t. „Współczesna literatura włoska“ i **dr. Stanisława Sawickiego** p.t. „Współczesna literatura skandynawska“. Wykłady te odbywały się w przepełnionych słuchaczami salach uniwersytetu.

Drugi dzień obrad rozpoczął się od referatu **prof. dr. Tadeusza Mikułowskiego** p. t. „Uwagi o wynikach nauczania w gimnazjum“ (na tle doświadczeń z języka niemieckiego). Nader ciekawe były następujące referaty: odczyt prof. uniwersytetu Poznańskiego **dr. Józefa Morawskiego** p. t. „La literature de la Renaissance“, który ujął przedmiot z punktu widzenia naukowego i **prof. Alfreda Jesionowskiego** p. t. „Realizacja tego tematu w nauczaniu w liceum“. Ten sam temat poruszony był w języku niemieckim przez asystenta Uniwersytetu J. P. **dr. Karola Grudmana** w odczycie niemieckim p. t. „Kultur und Literatur des deutschen Mittelalters“, którego zastosowanie wykazał **prof. Florian Witczuk** w referacie p. t. „Realizacja tego tematu w nauczaniu w liceum“.

Doskonały odczyt prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego **dr. Romana Dyboskiego** „O współczesnej literaturze angielskiej“ zakończył obrady tego dnia.

W trzecim dniu zjazdu, odbyło się walne zebranie delegatów P. T. N. z dyskusją generalną. Wieczorem jeszcze dwa odczyty prof. Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, **dr. Zygmuta Czernego** p. t. „Francja dzisiejsza i stosunki polityczne i społeczne“, oraz **prof. Marcela Bouteron** pt. „L‘oeuvre Balzacienne“ zamknęły obrady.

Biblioteka Narodowa

bez własnej siedziby

Przed kilku dniami opuściło prasę drukarską 1-sze oficjalne sprawozdanie dyrekcji **Biblioteki Narodowej Józefa Piłsudskiego** z działalności tej instytucji w r. 1937/38.

Ze sprawozdania tego wynika, iż biblioteka pochlubić się może w tej chwili księgozbiorem, liczącym **około 500.000 tomów** (w tym 82.793 t. wydanych przed rokiem 1800), około 40.000 rękopisów (w tym m. in. zbiory dawnej Biblioteki Załuskich, rewindykowane z Rosji, zbiory Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu, rękopisy Chopina, najstarsze zabytki jęz. staropolskiego: kazania Świętokrzyskie i Psałterz Floriański i w. in.), dalej 63.000 sztychów ok. 10.000 map, 25.000 nut i t. d.

Bogate te zbiory nie mogą być jeszcze w należyty sposób udostępnione szerszym rzeszom pracowników naukowych, ponieważ Biblioteka Narodowa (powołana do życia w r. 1928) **nie posiada dotąd własnego gmachu** i musi przechowywać swe zbiory w 3 odległych od siebie (Krak. Przedm 32, Rakowiecka 6, Al. Ujazdowskie 1), **ciasnych i niezawsze do celów biliotecznych przystosowanych lokalach, wynajętych lub wypożyczonych.**

http://rcin.org.pl

JAN SKOTNICKI

Cokolwiek o publiczności, ale nie wszystko

Kto choć raz był w teatrze, zdaje sobie sprawę, że każde widowisko, a więc i teatr składa się z dwóch zasadniczych elementów: z aktorów i publiczności, ze sceny i widowni. Bez tych dwóch części składowych nie do pomyślenia jest jakiekolwiek widowisko, a tym bardziej teatr.

Nie wszyscy jednak rozumieją, że te dwie części teatru oddzielone są tak zwaną „rampą“. Istnienie tej „rampy“ jest trzecią nieodzowną koniecznością teatru, bez której przestałby on istnieć. Rampa często bywa przestrzenią, wypełnioną pulpitami orkiestrowymi, często przyjmuje formę tak zwanej estrady, a jeszcze częściej galeryjki z ukrytymi lampkami. Zawsze ona istnieje i jest tą wytyczną granicą, którą widzowi nie wolno przekroczyć.

Próby zniesienia „rampy“, wprowadzenia tak zwanej „bezpośredniości“ w teatrze były i są fikcją, rampa dalej w tych teatrach pozostała, tylko zastąpiono ją brzegiem dywanu rozłożonego na scenie, przejściem szerokim między pierwszym rzędem, a terenem sceny, reflektorami świetlnymi, oświecajacymi strumieniami światła scenę, a pogrążającymi w ciemnościach widownię, wreszcie pewną moralną przegrodą. Przekroczenie tej rampy przez którąkolwiek ze stron, tj. personelu sceny, czy widowni, niszczy tak kunsztownie wzniesiony gmach teatralny z jego wielką sztuką.

Bo proszę sobie uprzytomnić, na czym polega teatr — otóż na tym, że, o ile w jednej części tego gmachu panuje ułuda, to w drugiej części jest rzeczywistość. I czym jaskrawsze jest rozgraniczenie między światem ułudy, a światem rzeczywistości, tym widowisko jest wspanialsze, tym teatr jest bardziej teatrem, tym większą świątynią sztuki.

Obserwując dalej teatr, zauważymy jeszcze inne ciekawe zjawisko, stanowiące nowy warunek konieczny dla istnienia teatru, a mianowicie jego zmienność. O ile na scenie, jak zaznaczyliśmy wyżej, jest ułuda, fantazja, chimera, to widownia reprezentuje świat ziemski, realny, prawdziwy, ale, o ile na scenie zapanuje prawda, to na widowni siedzi fałsz, kabotynizm, pozerstwo. Na scenie króluje głębia — na widowni — blaga, nieuctwo i płytkość. A kiedy na scenie padnie dowcip drastyczny, na widowni słychać szmer urażonej cnoty, — na scenie — purytanizm, na widowni zjawia się nuda i tęsknota za czymś pikantnym. Weźmy tę sprawę przykładowo.

Na widowni przed przedstawieniem sztuki Zapolskiej rozsiadły się w lożach i fotelach nieomal same panie Dulskie i ich mężowie. Kurtyna idzie do góry, na scenę wjeżdża Zapolska — widownia momentalnie zmienia swój poprzedni charakter, trzęsie się z oburzenia i śmiechu nad ciasnotą i wulgarnością dulszczyzny, a te dawne wyfiokowane i wypięte prawdziwe paniusie Dulskie stają się momentalnie dystyngowanymi, powściągliwymi hrabinami, przesubtelizowanymi damami, czującymi wstręt i, zdawałoby się, odwieczną odrazę do tego rodzaju typów, które przed chwilą same reprezentowały, a których zaraz po wyjściu z teatru znowu będą wcieleniem i wzorem.

Taki bowiem już jest porządek w teatrze i życiu.

Idą inne znowu dwudziestoletnie osóbki na przedstawienie, na którym cały wieczór jest gadanina o Einsteinie. Cały wieczór siedzi to głupiutkie w porównaniu z mądrościami, które się leją z ust aktorów, chłonie to pierwszy raz zasłyszane frazesy, a kiedy wychodzi z teatru, okazuje się, że to są skończone filozofki, rozprawiają o Einsteinie na ulicy tak zupełnie, jakby mówiły o kreacjach Krukowskiego, czy o dziełach Kamila Nordena, z rozmowy ich wypływa, że nic innego w życiu nie robiły od samych pieluszek, jak zgłębiały teorię względności, poprostu jest to ich fach stały od urodzenia — kto mógł to przypuszczać w teatrze, przecież wyglądały na sklepowe od p. Markusa Pinkierta z ulicy Granicznej.

Takich to dziwnych przeobrażeń dokonywa teatr.

Oczywiście, mówiąc o widowni, trudno nie zauważyć, że wśród widzów są również i inne elementy, jakby oazy odrębności, szczególnie, o ile to jest dzień premiery. Są to najczęściej nieszczęśliwi mężowie, siłą zaciągnięci do teatru przez żony, jako przyzwoitki. Oni, przybici życiem, nie silą się zrozumieć, co się dzieje na scenie, tym samym żadnym nie podlegają metamorfozom. Nie podlegają też metamorfozom obecni na sali krytycy teatralni. Traktują oni teatr, jako urzędowe ich biuro, też przymusowo, jak pierwsi, siedzą, zazwyczaj znudzeni, zmęczeni, drewniani, obojętni, zblazowani. Siedzą, bo muszą siedzieć, bo „numer jutrzejszy“ ich dziennika tego wymaga.

Jak jedni mężowie żon, tak drudzy mężowie zaufania redakcji to istotnie nieszczęśliwi ludzie, godni pożałowania, a stosunek ich entuzjazmu do sztuki musi być wybaczony, jedzą bowiem ciężki kawałek chleba.

Oczywiście, że oba te typy swym zachowaniem „peszą“ entuzjazm publiczności teatralnej. Na pierwszy typ niema środka, co do drugiego to dyrekcje teatralne znalazły nań środek i obecnie już przestali oni peszyć porządną, płatną publiczność. Związek dyrektorów, po wspólnej naradzie, wszystkich tych panów skomasował na jeden dzień, na którym wszyscy widzowie są wyłącznie „kartkowi“ i nazwał ten dzień zaszczytnym mianem dnia „premierowego“; uważany jest on przez wszystkie teatry za zupełnie stracony, — było to jednak najszczęśliwsze w tej sytuacji wybrnięcie.

Dnia tego recenzenci i krytycy, idąc do teatru, stroją się w pozory interesowania się sztuką oraz w cylindry, o ile są modne, zakładają różnokolorowe rozetki, wstążeczki w klapy od smokingów i w miny dostojnych członków najwyższego trybunału. W teatrze darzą od czasu do czasu protekcyjnym uśmiechem autora, aktorów i publiczność. Są oni wtedy nawskroś ludźmi teatru, bo są najbardziej upozowani i teatralni. Siedzą zazwyczaj obok siebie w pierwszych pięciu rzędach, stale na tych samych miejscach, znudzeni sobą do ostateczności. O ile któremuś coś zacznie dolegać, ożywia się na chwilę, a w czasie największego na scenie napięcia, skłoni dostojnie głowę ku drugiemu i szepnie, na przykład: „Wiesz, kochany kolego, że jutro coś zakrawa na słotę, odciski nieznośnie pieką, nie czujecie?“. Drugi stwierdza, że nie ma odcisków, ale za to od wczoraj gniecie go w żołądku — tak się wczoraj zirytował przy bridge'u.

Na scenie te tajemnicze szepty nie uszły uwagi grającego aktora; jak strzała, przeszyła go myśl, że o nim, o jego grze napewno mówi areopag sądzący; zatkało go więc zupełnie, czuje, że go jutro niemiłosiernie w dziennikach schlaszczą i od tej chwili sypie się biedak niewiarogodnie, nie wie, że recenzja była dawno przed premierą napisana i właśnie w tej chwili już ją nocny, senny zecer składa. A ustęp, dotyczący jego gry, jest taki, że go napewno wytnie i wklei do księgi swojej pamiątkowej, jako że brzmi tak niebanalnie: „Ten obiecujący talent stale pogłębia się, tworzy coraz wyraźniej skrystalizowane kreacje, pełne wewnętrznego wyrazu“.

W stolicy i gdzieindziej

Ciężka jest istotnie służba krytyków premierowych. Przesiedzieć nieomal codziennie parę godzin w którymś z kilkunastu teatrów warszawskich, na niewygodnych, ciasnych fotelach, bez ruchu, do późnej godziny — ciężkie są to obowiązki, ale ostatecznie czego się nie robi dla sztuki i pieniędzy, marnych co prawda, ale jednak koniecznych. Zresztą czerpią oni przykład z urzędowych wzorów, które pewno dla przykładu społem z nimi są sadzane. Jest nim przede wszystkim przedstawiciel władzy, cenzor, sam pan komisarz policji i oficer straży ogniowej, którzy też są opłacanymi widzami i też nie śpią, też są godni pożałowania, choć może mniej, pomimo, że należą do kategorii czynników użyteczności publicznej, większej nawet, niż krytycy teatralni. Rozumiem, że wiele im wszystkim ułatwia rutyna, a jednak to nie jest tak łatwo zdobyć taką tresurę.

Sądzę jednak, że wśród premierowej publiczności najbiedniejszą jest bezwzględnie większa część pań, należących do grupy żon krytyków literackich, którym nie płacą za chodzenie do teatrów, a jednak chodzą one i to nawet na każdą „szmirę“ teatralną.

Ofiarność tych istot zawsze wprawiała mnie w podziw. Są to wszystko osoby co do jednej, godne wawrzynów literackich „za ofiarną i bezinteresowną służbę literaturze“.

Pojąć nie mogę, dlaczego PAL dotychczas tego nie zrobił. Siedzą bowiem te biedactwa od dziesiątków lat na tych samych miejscach obok tych samych sąsiadów i swych mężów (ci nieraz ulegli zmianie) i mają obowiązek baczyć, by ich mężowie nie posnęli, by mężowie temu czy owemu ukłonili się, a przede wszystkim muszą uważać, czy na scenie nie zaszedł jakiś kawał nieprzewidziany w recenzji i czy nie należałoby telefonicznie druk jej wstrzymać. Czy sztuka na scenie idzie ta, o której recenzja jest napisana, znam bowiem wypadki pojawienia się recenzji o sztuce, której premierę odwołano, czy obsada sztuki jest ta sama, bywają bowiem wypadki wydrukowania zachwytów o grze aktora, który w ostatniej chwili, dzięki niedyspozycji, był kim innym zastąpiony. Oczywiście, są to wszystko wypadki nie tyle tragiczne, co komiczne, ale zawsze nieprzyjemne dla recenzentów. Zapobieganie im należy do obowiązków żon recenzentów.

Dla egzystencji teatrów jest obojętna tak zwana premierowa publiczność. Teatry śmiało mogłyby zaczynać odrazu od trzeciego albo czwartego przedstawienia, ale jest to sprawa zwyczajowa, zwalczać jej nie myślimy, gdyż sami kiedyś korzystaliśmy z wyzutych z entuzjazmu premierowych wieczorów — niech młodzi też je poznają.

Obojętna jest dla teatrów ta premierowa publiczność, boć nie dla niej istnieje teatr i nie dla niej pisane są sztuki. Śmiem to twierdzić, choć innego, zdaje się, zdania są premierowicze.

Twierdzenie, że recenzje urabiają opinię i kierują frekwencją teatralną, jest trochę gołosłowne. Mało kto bowiem interesuje się tymi ocenami, ileż razy z tych czy innych względów nieścisłymi i rozbieżnymi.

Frekwencją teatralną kieruje „fama“, jedynie ta stugębna „fama“. Jeden drugiemu podaje wiadomość, zawartą w dwóch słowach: „wartość“ i po szóstym czy dziesiątym przedstawieniu, jeśli chodzi o Warszawę, to wali ona do teatru na przekór wszystkim znawcom teatralnym.

W ostatnich dziesięciu latach rekordowym pod tym względem przykładem było chyba wystąpienie pani Marysi Malickiej w sztuce Nikodemiego „Świt, dzień i noc“, sztuce bez jakiejkolwiek akcji, bez jakichkolwiek kawałów scenicznych i reżyserskich, opartej jedynie na muzykalności dialogu. Sztuka ta przez panią Malicką była grana napewno z 500 razy. Kto to przeczuł, że publiczności potrzeba dobrej gry, prostoty i muzykalności słowa.

Ciekawe jest wobec tego poznanie choć pobieżne tej prawdziwej publiczności, która z własnej nieprzymuszonej woli dzień w dzień wypełnia teatry i utrzymuje je z własnej kieszeni. Publiczność tę trudno ująć w jeden schemat. Jest ona zanadto różnorodna. Inną jest ona w Poznaniu, Toruniu, Krakowie, Wilnie, Lwowie, a zupełnie inną będzie w Warszawie, Łodzi, czy Katowicach. Inną jest w teatrach kameralnych, a inną w reprezentacyjnych, inną jest nawet publiczność sobotnia i niedzielna, a inną poniedziałkowa. Różniła się ona w okresie inflacji od tej z okresu kryzysu, a nawet od tej z prosperity. Różni się ona nawet profilami, w zależności od profilu autora lub właściciela teatru.

A pomimo to, jeśli się weźmie globalnie, ma ona coś w sobie wspólnego. Szczególnie ta wspólnota występuje w miastach pozastolicowych, w miastach, pozbawionych elementu wypadkowego, jakim jest element dojeżdżający do stolicy.

Oczywiście, u nas w Polsce nie może być brany dla studiów okres tak zwany inflacyjny, jak również okres sztucznie rozwiniętej prosperity, gdyż w tych okresach wyzbywanie się gotówki przez publiczność na byle co i byle jak, choćby na bilet teatralny, nie wypływało z potrzeby wewnętrznej człowieka i dlatego nie może być miarodajnym objawem.

Najbardziej cenne obserwacje można było przeprowadzić w okresie gospodarczego kryzysu, kiedy wydanie grosza było połączone z wielkim wysiłkiem. Ten, kto w tym okresie chodził do teatru, był istotnie człowiekiem teatru, był fanatykiem sztuki dramatycznej, a przede wszystkim jej ofiarnym mecenasem. Wtedy to przed kilku laty starałem się zebrać statystyczne dane frekwencji widowiskowej i do wysoce znamiennych doszedłem rezultatów, świadczących nad wyraz wymownie o cechach charakterów mieszkańców poszczególnych dzielnic Polski i stolicy. W Warszawie, na przykład, najwyższą frekwencją cieszyły się teatry bezpośrednio po pierwszym każdego miesiąca, w Wilnie między 10 a 15-ym dniem każdego miesiąca, na Pomorzu w Toruniu frekwencja prawie cały miesiąc była równa, zaledwie koło dwudziestego zauważyć się dawał spadek publiczności.

Cóż to znaczyło?

Temperament warszawiaka każe wydać pieniądze zaraz, jak się tylko do nich dorwie. Oczywiście, rezultat jest ten, że po 15-ym już nie ma z czego żyć. Wilnianin solidny, rozważny, powolny, popłaci zaległości, jakie ma z zeszłego miesiąca, popłaci z góry zobowiązania na resztę miesiąca, a gdy to uskuteczni w pierwszych dziesięciu dniach, to potem flegmatycznie zajrzy do portmonetki, obliczy, ile mu się jeszcze zostało i puści sie na całego za tę resztę i zazwyczaj w końcu, wyprowadzony ze stanu równowagi, nieco przeholuje.

Pomorzanin ani nie zalegał z zeszłym miesiącu, ani nie boi się, by go nieobliczalny temperament poniósł, rozłożył sobie pieniądze kupkami na dnie i cele; w rezultacie dla niego nie istnieją żadne uprzywilejowane okresy, tak samo wydaje pieniądze drugiego, jak i dwudziestego drugiego, bo je wydaje z beznadziejną, niewiarogodną dla Polaka rozwagą.

Drugą znamienną cecha publiczności kresowej była frekwencja tak zwanych mniejszości. Otóż na kresach, zarówno wschodnich, jak i zachodnich, utwory sceniczne Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego wyjątkowo długo, wbrew przewidywaniom dyrekcji, utrzymywały się na repertuarach. Był to objaw tym dziwniejszy, że sztuki te nieraz trudne, ciężkie, nie nadają się tak łatwo do rozgryzienia bez przygotowania poprzedniego.

Okazało się, że na obu kresach, a szczególnie wschodnich, elementem, podtrzymującym długotrwałą frekwencję, w dużej mierze były tak zwane mniejszości, na Pomorzu — Niemcy, na Wileńszczyźnie — Żydzi, Rosjanie i Białorusini. Te mniejszości, oczywiście, nie z miłości do nas garnęły się do naszych teatrów, a dla studiów i nauki. Pragnęli nas poznać, kulturę naszego narodu zrozumieć, gdyż los kazał im współżyć z nami. Chcieli się dowiedzieć i nauczyć, kto to są te słyszane przez nich nazwiska Mickiewicza i Słowackiego i jaki jest ich poziom w porównaniu z Puszkinem, Göthem, czy Schillerem. To też nie raz w okresach mych wizyt na kresach zdarzało mi się widzieć młodych ludzi, a nawet starszych, w teatrze obłożonych książkami i śledzących rozwój akcji na scenie. W Warszawie na takie sceny trudno mi było kiedykolwiek natknąć się. Były, co prawda, przed paroma laty dwie jednostki, stali bywalcy teatrów, obłożone pomocniczymi książkami, ale byli to panowie z korpusu dyplomatycznego, — o ile mi wiadomo, jeden był członkiem brytyjskiej ambasady, drugi należał do personelu poselstwa holenderskiego. Nie mogę więc ich zaliczyć do naszej, ogólnopolskiej publiczności, studiującej naszą kulturę.

A jakąż jest istotna cecha publiczności warszawskiej? Chcąc być zupełnie obiektywnym, sięgnąć muszę do cyfr, — ale z jakich lat cyfry mam brać? Z okresu inflacji nie mogę, z okresu prosperity też nie mogę, z obecnej chwili też nie mogę i nie chcę, — po pierwsze dlatego, że cyfr, odpowiednio przegrupowanych, nie mam, powtóre — podstawowe teatry stolicy za mało są zróżnicowane repertuarowo. Biorę więc za miarodajne lata oszczędności wyjątkowych: 1924 — 1925 i 1926 — 1927. W latach tych frekwencja w teatrach warszawskich, o repertuarze *poważnym*, wynosiła przeciętnie w okrągłych cyfrach 1.550.000, a w tym samym okresie w teatrach o charakterze rozrywkowym —1.200.000. Te dwie cyfry przejrzyście wskazują na upodobania warszawskiej publiczności, znowu zadając kłam wszelkim gołosłownym opiniom, twierdzącym o odwrotnym stanie. Z tego wypływa, że teatr w Warszawie nie jest traktowany wyłącznie, jako rozrywka, a jako potrzeba kulturalna.

Bardzo byłoby ciekawe zaprezentowanie nam obecnego stanu duchowego oblicza publiczności warszawskiej, — nastąpiły bowiem w niej wielkie zmiany, wielkie przetasowania, inne sfery wyszły na wierzch, masowy nastąpił dopływ elementu z prowincji, — szczególnie daje się to zauważyć w sferach urzędniczych i wojskowych, — a nastąpił prawie zupełny odpływ Warszawy przedwojennej. Zgrubsza jednak sądzę, że nie zmienił się ten stosunek frekwencji rozrywkowej do poważnej sztuki. Spadła tylko może ogólna frekwencja w stosunku do rozrostu Warszawy. W epoce bezpośrednio powojennej i późniejszej mówiło się wiele o kryzysie teatralnym, książkowym, a nawet w ogóle kulturalnym. Przeciętny dyrektor teatru, wydawcy, wystawcy, nawet autorzy rozwiązywali ten problem prosto, wydając sąd o powojennej publiczności, że jest to hołota bez kultury i smaku, skoro nie zadowala się tym, co oni stworzyli lub jej podają.

Tak oceniwszy sytuację, z całym przeświadczeniem słuszności, a przede wszystkim swej wyższości na tę hołotę, uważali siebie za ofiarę barbarzyństwa. By ratować siebie finansowo, zaczynali rzucać na sceny, na półki księgarskie lub na wystawy sensacyjki, sztuki lekkie lub zgoła pornografie, zapożyczane głównie z zagranicy w tłumaczeniach.

Ale i tu następowało rozczarowanie, a wypływało ono stale z tego, że mierzono publiczność powojenną miarą przedwojenną. A ta publiczność powojenna jakżeż inaczej wygląda, niż przedwojenna, jak co innego ją wstrząsa, upaja, bawi. Przeżyła ona bowiem zbyt wiele i wielkich dramatów. Dramat, oparty na zdradzie małżeńskiej, zdrada kochanka itd. to są dramaty dla powojennej publiczności tak małe, tak śmiesznie małe, że nikogo one nie wzruszają. Przecież oni patrzyli na gigantyczne zmagania i dramaty w czasie wojny, brali w nich bezpośredni udział. Czyż może ich zaabsorbować jakiś, choćby o najwymyślniejszej sytuacji romansik. I w tym tkwi źródło nieporozumienia. Bo jednak, kiedy na scenie zjawiały się wielkie misteria, o ile były poruszane wielkie problemy ludzkości, społeczne lub płynęła ze sceny czysta piękna poezja, tłumy zawsze płynęły i płynąć będą do teatrów.

Jeden z niemieckich teatrologów wygłosił zdanie: „zegar świata scenicznego idzie szybciej, niż zegar sceny światowej“. Tak było kiedyś. U nas, w dzisiejszym okresie, dzieje się wprost odwrotnie. Sztuka nie nadąża za rozwojem ludzkości, sztuka nie przystosowała się do problemów, interesujących obecną publiczność.

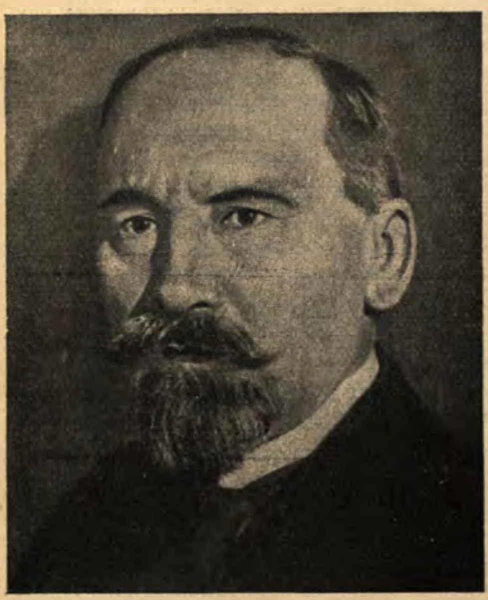
Przyznać muszę, że w ostatnich latach widzę tu i tam poprawę i wysiłki, ale dały one dzieła drobne, nie mające cech monumentalności, a na taką wielką sztukę czeka nie tylko publiczność, lecz Naród cały. Przechodzi on bowiem wielką tragedię: odszedł od dawnej sztuki, sztuki niewoli, a nie jest wychowywany na nowej sztuce, sztuce Polski Odrodzonej i... dziczeje!

Nie mamy nowych dzieł, któreby narodem potrafiły wstrząsnąć. W tym leży kryzys naszej narodowej kultury.

http://rcin.org.pl

KAROL IRZYKOWSKI

„Brak jest przede wszystkim dobrej szkoły"



Naszą dyskusję o teatrze otwarli w poprzednim numerze trzej wielcy artyści sceny i równocześnie doświadczeni kierownicy teatrów: Ludwik Solski, Karol Adwentowicz i Stefan Jaracz. Z kolei dajemy trójgłos, na który składają się opinie znakomitego krytyka i dwóch świetnych autorów dramatycznych. Red.

Coś sobie teraz ludzie upatrzyli do pojęcia „kryzys", że kryzys musi być odpowiedzialny za wszystko. Ale od kiedy pamiętam, zawsze był jakiś kryzys, coś się właśnie kończyło i coś zaczynało. Wiadomo też, że człowiek sam jest kryzysem — jak Nietzsche mówi: „ein gefährliches Auf-dem-Wege".

O tym, że teatr zjada książkę, a sam jest pożerany przez kino, wiadomo. O tym, że reżyseria rozpanoszyła się w teatrze kosztem dramatu literackiego, też wiadomo; teraz ten zapał reżysera nawet już trochę ustał. O prawidłowym stosunku teatru do dramatu bardzo dobrą książkę wydał właśnie Józef Mirski, pt. „Dusza teatru".

Jest, oczywiście, i zawsze był, kryzys dramatopisarstwa, o którym pisze Solski w nrze 3 „Obrony Kultury". O głębszych przyczynach tego kryzysu, czy już raczej tego niedowładu, pisałem dawno (dotycząca rozprawka zamieszczona jest w moim „Słoniu wśród porcelany"), że tkwi ona w adramatyczności natury polskiej, w nieumiejętności prowadzenia istotnej rozmowy itd. Dziś nie chcę wracać do tych korzeni, weźmy się do rzeczy powierzchniowych. Wszyscy trzej dyrektorzy się mylą.

Solski twierdzi, że dramatopisarze zadowalają się tworzeniem „sztuk lotnych", obliczonych na śmiech i erotyzm. To prawda, ale dotyczy ona tylko części sztuk, tej części, która pozostaje pod magnetycznym wpływem kabaretu (np. przeróbki Tuwima). Ale zastanawia to, że np. choćby prób prawdziwej farsy — prócz Niewiarowicza — dziś nie ma. Reszta repertuaru jest owszem bardzo przyzwoita i poważna, tylko nudna. Nudna nie w tym znaczeniu, żeby ideałem było rechotanie się w teatrze, lecz że horyzonty, w tych sztukach roztaczane, mają bardzo poślednią miarę myślicielską — choćby cała trylogia „proletariacka" Rostworowskiego. Dyrektorzy: Adwentowicz i Jaracz wołają o sztukę społeczną, klasową, o to, żeby teatr był, jak ongiś, trybuną itd. Ależ tej trybuny mieliśmy aż za dużo. „Dziewczęta w mundurkach", „Bunt w domu poprawczym" są szmirą koniunkturalną, nawet „Świętoszek" jest dziś banałem za nudnym dla gimnazjów, a za dziecinnym dla ludzi dojrzałych. „Cyankali"? „Ulica"? Domaganie się nowego ustroju? Poszukiwanie nowego „Wesela Figara", któreby zrobiło rewolucję? To wszystko dzisiejszy banał, zawalidrogostwo. Podobnie, jak zawalidrogostwem są za duże porcje Wyspiańskiego, Słowackiego, Fredry. Niech Schiller lub Horzyca przygotują jakiegoś nowego Irydiona, czy Hamleta, a teatr będzie zakorkowany.

Na szczęście widzowi można wiele wmówić. Jest on albo snobem (in puncto żądań socjalnych, lekkości francuskiej, postępu, a dziś będzie gadał o micie), albo przytępiałym, wskutek rozlicznych, ze wszystkich stron nacierających nań wmówień prasy literackiej. Jeżeli nawet wieczory niezrozumiałych poetów Awangardy mają powodzenie, to cóż może nie mieć powodzenia! Ale dlatego też widz ucieka do kina.

Bardzo się tego wstydzę, że powołuję się także na taką nijaką instancję, jak widz teatralny. Ale myślałem o tym widzu, którego miało ukulturalnizować T. K. K. T. Prócz zorganizowania frekwencji teatralnej żadnego efektu nie zauważam. Ale czemużby T. K. K. T. właśnie musiało być mądrzejsze od reszty literatury (razem z krytyką).

Właśnie wróciłem z przedstawienia pięknej poetyckiej sztuki Morstina „Obrona Ksantypy". Ileż nawet tutaj kompleksów typowo warszawskich, a dziś może już i ogólnopolskich: 1) pasja odbrązowywania, a przy tym i feminizmu, 2) uraz antybelferski („Sokrates der Idiot") pomimo oddania mędrcowi co mędrcowskie, 3) płaskie kabaretowe aluzyjki do teraźniejszości, nawet pod adresem Kiepury i Składkowskiego. Jeżeli nawet ten czysty poeta, urządzający u siebie na wsi wieczory czarnoleskie, w ten sposób wypada ze stylu i nie może się uchylić od tego rodzaju „prądów kulturalnych", to pocóż obwiniać T. K. K. T. Nie w etatyzmie sedno rzeczy. Wszystko jedno, czy będą teatry zetatyzowane, czy samodzielne, jedna i druga metoda ma swoje dobre i złe strony, dobra kultura potrafi sobie ze wszystkim dać radę i nawet z przeszkód stworzy sobie okoliczności przyjazne.

Chociaż felieton teatralny zajmuje honorowe miejsce w gazetach i ma uświęconą tradycję, dramatowi to jakoś niewiele pomogło, skoro się nawet dyrektorzy na jego braki uskarżają. Mnie się zdaje, że dramatowi polskiemu brak jest przede wszystkim dobrej szkoły. Dramat francuski, niemiecki oparty jest na setkach eksperymentów, dyskusji, badań, tam nawet drugorzędni poeci dramaturdzy rozmyślają nad filozofią i techniką tej sztuki. U nas jest tylko jedna dramaturgia: Żydzyńskiego. Nie chodzi o to, aby wyszła jakaś książka o kuchni dramatycznej, lecz o stworzenie atmosfery większych i subtelniejszych wymagań. U nas piszą sztuki tak sobie na chybił trafił, raz się uda, raz nie, i popada się w stare błędy, gdzieindziej przezwyciężone. Sama szkoła, oczywiście, nic nie pomoże, jeżeli kto nie ma talentu, ale wzbogaca i wysubtelnia pracę zdolnego autora w warsztacie. Z wszelkich reguł, recept można sobie nic nie robić, można je stawiać na głowie, robić całkiem inaczej, ale znać je warto, choćby po to, żeby się im sprzeciwić. Tej atmosfery, że tak powiem wychowawczej, nie ma, i T.K.K.T. nie pomyślało o jej stworzeniu, a póki jej nie będzie, nie będzie dobrego dramatu, tylko szczęśliwe trafunki. Jak to zrobić, aby była, nie wiem, i to już mnie nie obchodzi.

A. OLBRYCHSKI

Nie jest tak źle...

Jarosław Iwaszkiewicz o teatrze



Ludwik Solski, Karol Adwentowicz i Stefan Jaracz, zabierając głos w ostatnim numerze „Obrony Kultury", zgodnie przypisali współczesnemu repertuarowi współodpowiedzialność za niewątpliwy kryzys teatru. Zarówno w Polsce, jak i zagranicą.

Nie ma dziś u nas Wyspiańskich i Rostworowskich. Twórczość teatralna nie spełnia szekspirowskiego postulatu — zwierciadła życia, widownią nie wstrząsa potęga idei przywoływanych na scenę z głębi dziejów narodów i bytu jednostek talentem autora i czarodziejstwem sztuki aktorskiej. Taki był zgodny sąd trójki wielkich artystów i dyrektorów teatrów.

Cóż jednak sprawia, że oto w ostatnich sezonach teatralnych przez długie miesiące nie schodziły z afiszów naszych teatrów sztuki polskie i to sztuki ostatniej doby, grane wprost z rękopisów?

— Nie ma u nas kryzysu teatru! — mówi znakomity poeta, prozaik i komediopisarz, Jarosław Iwaszkiewicz. Teatr nadal spełnia dobrze swą podwójną rolę placówki widowiskowo-rozrywkowej i warsztatu pracy teatralnej. Cóż może świadczyć na zewnątrz o jego żywotności? Frekwencja publiczności. A ta jest niewątpliwie większa, niż była.

Repertuar?

Ależ spotyka się z jak najlepszym przyjęciem. Przecież w ostatnich latach pojawiły się nazwiska autorów, którzy zdobyli i zdobywają dla siebie teatr. Wystarczy wymienić Cwojdzińskiego, Nowakowskiego, Niewiarowicza. A także moje „Lato w Nohant" i „Maskaradę".

— Oczywiście — zauważa poeta — można by zarzucić, iż nowa polska twórczość teatralna stroni od dramatu. Że kwitnie głównie komediopisarstwo. Jest to jednak zgodne z najlepszymi tradycjami polskimi. Od wieku XVIII przez XIX królowała u nas raczej komedia.

I co dziś obserwujemy? Równocześnie z wielkim powodzeniem paru autorów najnowszych na scenach warszawskich, w teatrach miast prowincjonalnych zjawiają się nazwiska, które odnoszą sukcesy i z kolei dążą ku stolicy. Wspomnę między innymi Pawlikowską-Jasnorzewską, Niewiarowicza. Ta decentralizacja może wywoływać jak najlepsze wróżby. Tym bardziej, że ogólny poziom scenopisarstwa jest zupełnie przyzwoity.

Nie można bowiem powiedzieć — twierdzi autor „Czerwonych tarcz" — aby powodzenie dzisiejszych sztuk teatralnych gwarantowała bezkrytyczność i niewyrobienie publiczności.

Przecież moja pierwsza rzecz padła. A bardzo dobrze szły dopiero następne. Jakkolwiek np. „Lato w Nohant" mogło się podobać jedynie żywo odczuwającym pewną treść poetycką, jako w sztuce pragnąłem zamknąć dokoła pokazania się procesu twórczego... Mimo tak subtelnej atmosfery „Lato w Nohant" działało. Efektów nie zamierzałem stwarzać, publiczność jednak zgotowała mi prawdziwą niespodziankę.

Cóż zresztą może autor wiedzieć o przyjęciu, z jakim spotka się w teatrze? Dzieło z którym przychodzi wylewa się, jak roztopiony wosk. I dopiero w zetknięciu z teatrem i publicznością przybiera jakieś określone kształty. Zastyga w formę taką, lub inną.

Nikt jednak tego nie może przewidzieć. Najmniej zaś wie o tym z góry autor. Tym mniej jeszcze można poddać te sprawy jakimś imperatywom i dyspozycjom z zewnątrz. Nie wierzę, aby w sztuce nakazy z jakichś ośrodków dyspozycyjnych zapewniały rozkwit. Choć może właśnie jeden teatr nadawałby się do kierowania z ośrodka dyspozycyjnego.

Nie brak jednak takiego ośrodka sprawia, że mówi się o kryzysie teatru. Bo wszędzie, gdzie teatry „są w dyspozycji", gorzej jest z teatrem, aniżeli u nas. Wprawdzie nie widać następcy Rostworowskiego (trylogia!), ale któż może wiedzieć, czy istotnie na nasz okres kiedyś nie będzie się patrzało inaczej.

Tak, jak to ja oceniam — kończy autor „Zmowy mężczyzn" — dziś źle nie jest. Lata powojenne były okresem liryki, obecnie jesteśmy świadkami intensywnego rozkwitu prozy i jak najlepszych zapowiedzi dla twórczości teatralnej. Można się spodziewać zatym, że i okres dramatu jest bliski.

Kronika literacka

Z Polskiej Akademii Literatury. W Polskiej Akademii Literatury odbyło się wręczenie aktu podziękowania p. Józefinie Saskiej, która ofiarowała Akademii teren nadmorski w Lisim Jarze koło Jastrzębiej Góry. Teren ten obszaru 4.000 m. kw. przeznaczony został pod budowę Domu Literatów im. Stefana Żeromskiego.

Przed nagrodą literacką im. J. Szareckiego. W drugiej połowie kwietnia przyznana zostanie nagroda literacka im. J. Szareckiego za utwór marynistyczny (tom wierszy, nowele, powieść, utwór sceniczny). Nagroda wynosi 1.200 zł i w myśl intencji fundatora nie może być dzielona. Zarząd T-wa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Warszawie, jako jury nagrody im. J. Szareckiego zwraca się do kandydatów do nagrody o nadsyłanie utworów pod adresem Towarzystwa (Warszawa, Bracka 5) w terminie do dn. 20 marca r. b. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w dn. 23 kwietnia r. b. na posiedzeniu Towarzystwa.

Marcel Bouteron w Polsce. Przez szereg dni bawił w Polsce wybitny francuski pisarz i historyk literatury znakomity balzakista i szczery przyjaciel Polski Marcel Bouteron. Bouteron wygłosił w Warszawie 3 odczyty o Balzacu, w tym 2 na Uniwersytecie i jeden w Instytucie Francuskim, wygłosił też jeden odczyt w Krakowie, gdzie zabawił parę dni. W stolicy gość francuski był podejmowany m. in. przez Instytut Francuski, na którego zaproszenie p. Bouteron przybył do Warszawy, przez Polską Akademię Literatury oraz Polski Klub Literacki (Pen-Club Polski). P. Bouteron — jak się dowiadujemy — zamierza w krótkim czasie ponownie przyjechać do Polski, tym razem na czas dłuższy.

FIS a książka. Na międzynarodowy tydzień sportu w Polsce wydała Rada Książki swoją Listę Książek Nr 5 poświęconą sportom zimowym. Obejmuje ona ponad 70 tytułów prac z zakresu sportów uprawianych w zimie, czy to w terenie czy na sali, oraz niektóre przewodniki i mapy, świadczące o tym, że sport — ten pozorny wróg książki — nie może się bez niej obyć. Bibliografia taka, rozrzucona w znacznej liczbie egzemplarzy zwłaszcza wśród młodzieży, powinna przyczynić się do pogłębienia wiedzy teoretycznej młodych sportowców i zachęcić ich do stosowania metodycznej i celowej zaprawy. Lista opatrzona jest w nagłówku sloganem, który uzyskał drugą nagrodę na konkursie FIS'u.

http://rcin.org.pl

STEFAN KIEDRZYŃSKI

O jeden teatr dla Polaków*)



W nawale skomplikowanych zagadnień zarówno politycznych, jak i gospodarczych, jakie zwaliły się na Polskę od pierwszej chwili Jej niepodległości, sprawy, dotyczące naszej kultury narodowej, znalazły najmniejszy oddźwięk zarówno w sferach kierowniczych, jak i w samym społeczeństwie.

Państwo polskie powstało z grobu, jak Łazarz. Nie była to dziewica o bladym obliczu umęczonej świętej, jak to sobie wyobrażano, ale cuchnący brudem nędzarz w strzępach i łachmanach, okrywających sterczące żebra. Głód, zwątpienie, nieufność we własne siły, podziw dla obcych towarzyszyły narodzinom szerokich mas, ockniętych gromem „wybuchu Polski", a gorsza od głodu i biedy, dzika, chamska, żarłoczna spekulacja podtrzymywała pod ręce wskrzeszonego Łazarza, kiedy czynił pierwsze kroki na drodze ku swej mocarstwowej przyszłości.

Wiemy wszyscy, jak było, i jak nadludzki wysiłek był potrzebny, aby z ruin materialnej nędzy, wycieńczonej wojną Polski, rozdartej w dalszym ciągu nie mniej groźnymi od granicznych słupów animozjami dzielnicowymi, stworzyć państwo takie, jakie jest obecnie. Dalekie jeszcze od harmonii wewnętrznej, ale na zewnątrz okrzepłe. Może więc i pewną prawdę zawierały słowa, wypowiadane wówczas w tym pierwszym okresie gigantycznej pracy tworzenia organizmu państwowego, że nie czas na sadzenie róż, kiedy płoną lasy. Tym lasem był, oczywiście, cały naród polski, który mógł spłonąć w pożarze rewolucji komunistycznej, różami jego kultura. Stara, chrześcijańska i katolicka, pełna ożywczych soków najszlachetniejszego romantyzmu, nasza kultura polska, przyniesiona nie ze Wschodu, lecz z Zachodu razem z wiarą w nieograniczoną potęgę ducha nad ciałem i wizerunkiem Chrystusa, umęczonego za niepodległość sumienia ludzkiego.

Ale pożar lasów został opanowany, o sadzeniu róż nikt zanadto nie myślał.

Sprawy kultury polskiej stały się terenem eksperymentów — powiedzmy łagodnie — gorszących, nieprzemyślanych i aroganckich. Indolencja z dyletantyzmem wzięły się za ręce, aby odtańczyć na jej zapadłych piersiach, szyderczy, prowokujący taniec brzucha. Jakby z wewnętrzną radością oddawano wiele dziedzin naszego życia artystycznego pod wpływy wichrów i przeciągów, wiejących od wschodu Państwa i od północy Warszawy. Zaroiło się od przekładów bolszewickiej literatury i od żydowskich „szmoncesów", na wesoło wyszydzających polskie romantyczne niedołęstwo. Było to urabianie perfidne i podstępne, a niedrażniące mniej czułych — kompleksu niższości, tego najstraszliwszego i najniebezpieczniejszego defektu polskiej mentalności, powstałej z poniewierki w latach niewoli. Sprawnie i gładko wzięto lutnie po trzech Bekwarkach: Moskalu, Niemcu i Austriaku, aby Polak sam zrozumiał swoją małość, swoją słabość i niższość.

Stało się to, co było do przewidzenia dla ludzi, nie łączących nigdy przyszłości Polski z wpływami międzynarodowego żydostwa. Kultura artystyczna i smak społeczeństwa w rzeczach sztuki powoli wynaturzały się i dezorientowały. Ohydny okres „szmoncesu" i panorama „szlagieru", a może i nieprzewidzianej przez najzagorzalszych żydofilów hucby piosenkarsko-przerabiarskiej, żerującej na dawnych polskich utworach, wtłaczających w uszy półżargonowe tanga i fokstroty — zrobiły swoje. Oddaliły szary tłum najliczniejszych konsumentów tego rodzaju utworów od swojskości. Zapomniano i zlekceważono polską piosenkę. Przestał istnieć polski kabaret, polska rewia, polski scenariusz filmowy. Wszystko to z ducha było obce i Polak robotnik, czy inteligent niepostrzeżenie, bez bólu, łagodnie i ze śmiechem wchłaniał w siebie produkt myśli żydowskiej, nie wiedząc i nie domyślając się nigdy, że pod wesołym słowem polskim ukrywa się wykoszlawiona maska diaspory.

W tym smutnym nad wszelki wyraz okresie, kiedy obełgane i zepchnięte do roli posłusznych widzów — polskie społeczeństwo w ogromnej swej części (bo na szczęście nie całe społeczeństwo) przestało się już orientować, co jest polskie w sztuce, a co obce — teatr w Polsce poczuł się szczególnie osamotniony.

Teatr w Polsce to nie tylko dwa słowa, określające jego istnienie, to głęboka i ważna treść — to tradycja walki o polską niepodległą myśl, o polską ideę i polskie nieskażone słowo. Chodzi, rzecz prosta, o teatr polski z ducha, nie z nazwy, o teatr, inaczej mówiąc, narodowy — teatr przez Polaków stworzony i dla Polaków.

W tym zestawieniu nazwy z duchem, będącym metafizyczną siłą natchnienia twórczego, mieści się ta sama fatalna dysproporcja, jaka istnieje w rzeczywistości między teatrem polskim dla Polaków a teatrem, grywającym różne sztuki po polsku dla wszystkich. Teatrem w istocie swej międzynarodowym, podobnym w swym spekulacyjnym założeniu do restauracyjnego wagonu międzynarodowego pociągu, którego personel, przejeżdżając przez terytorium Polski, załatwia interesy swych klientów-pasażerów w języku polskim. Taki teatr nie jest teatrem polskim, gdyż liczy się z upodobaniami widzów obcych plemiennie i kulturalnie. I dlatego właśnie najczęściej grywa cudzoziemskie sztuki, ponieważ niczym wybitnie polskim nie może drażnic „krajowych cudzoziemców", zapełniających widownię.

Świątynia sztuki narodowej

Stwierdziwszy ten poniżający fakt, przychodzą nam na myśl inne teatry narodowe w innych państwach. Zacznijmy od Komedii Francuskiej. Jest to teatr dla Francuzów w pełni znaczenia tego słowa. Z pół miliona cudzoziemców, którzy przewijają się przez Paryż, każdy, jeżeli chce, może sobie przyjść na przedstawienie, jeżeli stać go na drogi bilet, ale nikt go o to nie prosi, nikt go nie zachęca reklamą, nikt nie będzie układał repertuaru dla jego gustu i smaku. Od tego jest Casino de Paris i sto innych teatrzyków. Tam jest świątynia sztuki francuskiej. Gra się w Komedii stare, jak Molier, często spłowiałe już romantyczne pseudoarcydzieła W. Hugo, dzieła i dziełka innych, ale tylko te, które były napisane przez Francuzów dla Francuzów, a gra się je po to, aby każde pokolenie zżyło się z dziełami swych wielkich autorów i zachowało na całe życie w swej świadomości genialność rasy, do której ma szczęście należeć. Takim w najistotniejszej pełni był teatr Stanisławskiego w Moskwie. To był teatr rosyjski dla Rosjan. Dla Czechów jest Narodne Divadlo w Pradze. I taki jest teatr Narodowy Litewski w Kownie, wystawiający jedynie sztuki autorów litewskich.

Zapewne nie jeden z dyrektorów teatralnych w Polsce załamie ręce wobec takiego niebywałego szowinizmu. My się jeszcze ciągle boimy tego słowa, jak diabeł święconej wody. Właśnie nasz liberalizm pozwala wielu dyrektorom uważać sobie za niezwykłą zasługę wystawianie 40% sztuk polskich w teatrze, subwencjonowanym pieniędzmi społeczeństwa polskiego. Ale i my również wiemy, że w maleńkiej Litwie nie urodził się dotąd ani Szekspir, ani Molier, że nie ma tam nawet litewskiego markiza de Flers'a, ale są tam napewno jacyś zapaleni młodzieńcy z ogniem w sercach, którym się pali pod czaszką święty płomień narodowej sztuki. Litwinom to wystarcza, bo wiedzą, że tylko tą drogą mogą stworzyć w przyszłości swój teatr narodowy, nie kłaniając się wszelkiej, nawet podrzędnej cudzoziemszczyźnie w pas.

Wiele jest takich teatrów na świecie, ale nie ma takiego teatru u nas, w narodzie, który wydał Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Wyspiańskiego i tylu innych świetnych i znakomitych poetów i pisarzy. I prócz teatru narodowego, naprawdę stworzonego przez W. Bogusławskiego w okresie upadku Państwa Polskiego, jako spóźniony, niestety, apel do sumienia i honoru, nigdy takiego teatru w Polsce nie było i nie ma dotychczas. Bo z tym musimy się zgodzić, że nie nazwa jest w tej sprawie decydująca, że nie ten teatr jest narodowy, za jaki go uznano i nazwano takim, ani ten polski, w którym aktorzy grają po polsku, ale ten, którego życie twórcze wypływa z ducha kultury narodowej. Polską sztuką jest ta sztuka, której istota natchnienia, jej wewnętrzna treść moralna jest ciągiem tradycji tysiącletniego polskiego życia, jest emanacją polskiej duszy, polskiej wyobraźni i temperamentu. I wszystkie te elementy natchnienia muszą się w sztuce polskiej realizować inaczej, niż w sztuce cudzoziemskiej — i o tym trzeba pamiętać przede wszystkim.

Czy może istnieć większa odrębność, wprost zastanawiająca sumą swych przeciwieństw, jakie istnieją między sztuką rosyjską i teatrem rosyjskim, a sztuką i teatrem francuskim? Najznakomitszy teatr na świecie, teatr Stanisławskiego, nie miał powodzenia w Paryżu. I vice versa — Francuska Komedia nigdy nie zdobyła wielkiego uznania w Rosji. A dlaczego? Dlatego, że oba wyrazy twórcze — i w tej i w tamtej sztuce są szczere. Rodzą się bez sztucznych podniet snobistycznych i blagi przejściowych izmów, ale wypływają z ducha geniuszu narodowego, mając jedną tylko ambicję — być naprawdę w oczach świata sztuką francuską i sztuką rosyjską.

W jednym z ubiegłych sezonów w Teatrze Narodowym w Warszawie wystawiono jedną premierę polskiej sztuki. Nie trzeba być szowinistą, żeby zrozumieć, że takie nastawienie do własnej twórczości jest antyspołeczne, niezrozumiałe i niepraktykowane w żadnym kraju na świecie. Jakaż jest tego zjawiska przyczyna? Warto się nad tym anachronizmem, wysoce gorszącym, zastanowić głęboko, bo niepodobna posądzać kierowników Teatru Narodowego, a tym bardziej osób, stojących na czele T. K. K. T., związanych swą pracą z rozwojem Państwa Polskiego, o stosunek negatywny do okrzepnięcia i wzmocnienia jeszcze jednej i tak ważnej dziedziny naszego życia kulturalnego. Moim zdaniem, przyczyna leży w niewidocznym na pozór, a w rzeczywistości gniotącym nacisku upodobań i gustów obcych widzów, których w każdym mieście naszym jest ogromny procent. Dla dyrektora zmerkantylizowanego z konieczności budżetowych teatru w Polsce Żydzi to kasa. Nieproporcjonalnie olbrzymia ilość Żydów w handlu, przemyśle i wolnych zawodach, skupienie w tymże stosunku kapitału w rękach obcych pozwala im przeznaczać daleko większe odsetki swych zarobków na rozrywki i teatr, niż zubożałej — urzędniczej ludności polskiej. Żydzi więc i w tym wypadku, jako konsumenci produkcji teatralnej, dyktują dyrektorom teatru swoje upodobania, artystycznie oddziałuwując anonimowo na ideologię i gatunek repertuaru. Jaki jest ten rodzaj najbardziej zbliżony do mentalności semickiej, widzieliśmy przez lata całe panowania „szmoncesu" na scenach teatrzyków rewiowych. Nie ma więc o czym mówić. Gorzej jest jednak, gdy ten szmoncesowo-rewiowy gatunek widowisk wkracza na scenę poważnego, pierwszego w Polsce teatru, otwierającego swoje podwoje „Irydionem", a przyciągającego później rewiową publiczność przeróbkami dawnych polskich komedii, przystosowanych do poziomu i wymagań dostawców i odbiorców szmoncesu. Wtedy polska publiczność, a z nią całe społeczeństwo zostaje zaskoczone hałaśliwym powodzeniem, jakie doznaje poparta przez całe żydostwo warszawskie przeróbka *polskiej* komedii, dokonana przez autora, rewiowego Żyda i wystawiona na użytek w pierwszym rzędzie stałej żydowskiej klienteli, która się zaśmiewa, jak to głupio i naiwnie było w Polsce pięćdziesiąt lat temu. A z nią i część polskiej publiczności, zdezorientowana, ogłuszona reklamą, wciągnięta w atmosferę żydowskiej mentalności i szydząca z nią razem z niedawnej swej przeszłości.

I ta właśnie stara klientela żydowska, z którą tak bardzo dla względów kasowych liczą się dyrektorzy teatrów, wytwarza ciężką zaporę dla autorów polskich, zwłaszcza młodych, z mniejszym podziwem odnoszących się do ubóstwianego „intelektualizmu", jako czynnika twórczego, a bardziej napęczniałych ideami polskimi, narodowymi i chrześcijańskimi. Taka sztuka wytworzyłaby napewno w niejednej dyrekcji panikę.

Jeden z dyrektorów teatru prowincjonalnego powiedział otwarcie: „Nie mogę grać polskich sztuk, bo Żydzi mi teatr bojkotują. W tym mieście polskie sztuki gra się w teatrze popularnym — dla robotników. Tak zw. inteligencja składa się w 80%-tach z Żydów, i 15% zinternacjonalizowanych Polaków. Pozostała reszta teatru nie utrzyma".

Nie ma w tym cienia przesady, gdyż wykaz repertuaru teatrów prowincjonalnych stwierdza, że najwięcej sztuk polskich grają teatry w Poznaniu, Katowicach, Toruniu i Bydgoszczy, t.j. tam, gdzie wpływy Żydów na życie społeczeństwa polskiego są minimalne. Najmniej zaś w Warszawie, Łodzi, na Kresach Wschodnich: w Wilnie, Grodnie, Białymstoku, a także w Krakowie i, niestety, we Lwowie, gdzie Żydzi stanowią czynnik dominujący.

Wobec takiego stanu rzeczy, kiedy z roku na rok stan naszych dóbr duchowych ulega ograniczeniu na rzecz obcego nam elementu, kiedy z teatrów w Polsce idea Polski, walczącej o swoją przyszłość, o swoje piękne, mocne i sprawiedliwe jutro, została wyeliminowana, rzeczą konieczną, nieodzowną i pilną jest *stworzenie z teatru Narodowego w Warszawie niekwestionowane przez nikogo, bezkompromisowe azylum polskiej sztuki.* Teatr Narodowy musi być tak całkowicie teatrem polskim, jak komedia francuska jest w Paryżu teatrem francuskim, teatrem dla Francuzów, jak teatr Stanisławskiego w Moskwie był teatrem dla Rosjan. Musi być zwierciadłem życia polskiego, reinkarnacją wspaniałej przeszłości, historycznej, miejscem walki o ideę polską, o wiecznie żywą, gorejącą i spalającą się w troskach i zachwytach duszę polską. Na tej scenie nie może być miejsca dla obcego życia, chociażby to była sztuka, mająca 100 przedstawień w Paryżu. Ani dla sztuk i sztuczek, wyciągniętych z kurzu bibliotek agencji teatralnych — z tą myślą, że może żydzi przyjdą, bo to jest coś dla „elity intelektualnej".

Nasz Teatr Narodowy niech przestanie liczyć na żydowską kieszeń i na żydowski intelekt i na stu pięćdziesięciu snobów, oklaskujących najgłośniej właśnie to, co nie jest polskie, co najwyraźniej reprezentuje beztwarzowy internacjonalizm — i najbardziej jest bliskie zgorzkniałej i szyderczej duszy żydowskiej.

---

*) Artykuł dyskusyjny z cyklu naszej ankiety teatralnej.

http://rcin.org.pl

IGNACY CHABIELSKI

Obrona kultury opery w Polsce

Stan obecny — Zasadnicze czynniki składowe — Kierownictwo — Repertuar — Wykonawcy — Budżet — Finansowanie

Bajka o przeżyciu sztuki operowej, bardzo wygodna dla tych wszystkich, których kultura nic nie obchodzi, lub którzy wręcz uznają jej zbędność, należy do przeszłości. Dość włączyć stacje nadawcze Europy, aby przekonać się o bezzasadności rodzimych rozdzieraczy szat nad rzekomym upadkiem sztuki operowej. Wszystkie państwa kulturalne mają swe teatry operowe, promieniejące sztuką odtwórczą na cały świat. Transmisje, bajecznie opłacane przez radia, z zapartym oddechem słuchane są przez miliony, spragnione dobrego śpiewu i dobrej muzyki.

Inna sprawa u nas, Polska Odrodzona doprowadziła do upadku i zniszczenia niemal zupełnego nie tylko opery, ale i samych jej podstaw. Nie będziemy dociekali, czyja w tym wina i jakie czynniki wpływały destrukcyjnie. Sam fakt przyjąć należy, jako dokonany i bezsporny.

Czynniki miejskie, borykające się z deficytami (1929—1934), niewielką wagę przypisywały samej operze, jej istnieniu i rozwojowi, wypierały ją stale potrzeby więcej nagłe i dlatego w budżecie przeznaczano na ten cel sumy nikłe (340.000 zł) i stosowano system dzierżawy osobom i zrzeszeniom bez należytego wglądu w repertuar oraz poziom wykonania. Ta strona pozostawiona była dzierżawcy i jego ambicji artystycznej. Dzierżawca po wysiłkach nieraz skutecznych (pierwszy sezon Korolewicz Waydowej), ścieśniony warunkami, zaczął obniżać poziom repertuaru, wprowadził operetkę, jako asekurację równowagi budżetu, i stopniowo miasto czyniło coraz większe koncesje na rzecz rozpaczających dzierżawców, wynikały skandale strajkowe i, jako wynik, wypędzono operę z gmachu opery dla muzy podkasanej i zgodzono się na jej panowanie wszechwładne.

Opera właściwa jest teraz szczątkowym organem, raczej dekoracyjnym. Jesteśmy świadkami pogoni za tak zwanym „kasowym" repertuarem i eksperymentów, na które stać prywatny teatr, lecz nie teatr, korzystający z subsydium. Zanik poziomu, dojutrkowanie, niemożność planowania na okres choćby sezonu normalnego doprowadziły do rozpędzenia kadry stałych śpiewaków, stale głodujących i do rozbicia resztki czynników składowych, bez których istnienie stałej opery jest absurdem. Słaby chór, słaba orkiestra, upadający balet i „goście kasowi" w pełnym sezonie — oto smutna rzeczywistość. Nie trzeba powtarzać, jaką reperkusję ten stan wywołuje nazewnątrz i z jaką złośliwością dobrze opłacani „goście różnojęzyczni" szkalują naszą placówkę zagranicą, podnosząc brak powagi organizacji muzycznej i technicznej.

Ale miejmy i żyjmy nadzieją, że obrzydliwy koszmar, jaki zawisł nad losami naszej opery, rozwieje się na zawsze w słońcu stabilizacji stosunków samorządowych. Nie można winić miasta, że, trwając w niepewności jutra, nie mogło stawiać sprawy zasadniczo, stworzyło prowizorium po to, aby opinia mogła zorientować się w katastrofalnym stanie rzeczy. I opinia ta podniosła głowę, „atrakcyjne" operety, konkurujące z rewią i kinomanią, zawiodły — nie zawiodła dobra muzyka i starannie przygotowany balet. Zasługa to tych czynników kulturalnej Warszawy, nie wierzącej amerykańskim płatnym wzmiankom i wstydliwym sprawozdaniom osób, nie chcących z całą odwagą mówić tego, co doskonale czują i wiedzą. Każdy odruch zdrowej krytyki zakrzyczany jest przez usłużne wzmiankarstwo, wobec którego poważna krytyka, tak, jak wobec płatnej klaki, jest bezsilna.

Ta opinia, stopniowo powstająca, doprowadziła Sejm i miasto do rzeczowego podejścia do sprawy. Znalazło to swój wyraz we wnioskach stałego subsydium 500.000 zł dla opery, jako podstawy przyszłego jej rozwoju. I choć obecnie opera nie może jeszcze mierzyć się z boksem, piłką nożną i imprezami wyjazdowymi baletu, z dnia na dzień skleconego i ośmieszającego zagranicą naszą kulturę, jednak już widać świt odrodzenia, i to właśnie skłania nas do rozpatrzenia czynników składowych i rozważenia ich zasadniczego znaczenia dla odbudowy zrujnowanego gmachu OPERY NARODOWEJ.

**
*

A więc czyniki składowe: kierownictwo, repertuar i wykonawcy.

Nie mamy w Polsce, po za wyjątkami, fachowych i wykształconych kierowników. Kultura dyrygenta operowego wymaga poza wrodzoną zdolnością fachowego przygotowania i długoletniej, opartej na poważnych wzorach, pracy. O ile z repertuarem i jego zaprojektowaniem może dać sobie radę ciało zbiorowe, powołane z pośród fachowców, znawców i miłośników, o tyle przygotowanie i wykonanie dzieła wymaga pełnego zapału i doświadczenia kierownika. Im bardziej wszechstronnie traktuje swe zadanie dyrektor opery i potrafi twórczą myśl autorów muzyki i libretta, w harmonijnej współpracy z reżyserem, wcielić w życie sceny operowej, tym pewniejsze jest oddziaływanie na masy publiczności i atrakcyjność przedstawienia. Kłamstwo ma krótkie nogi, to też operowanie przesadnymi i śmiesznymi anonsami płatnymi, konkurującymi z ogłoszeniami atrakcji cyrkowych, zapraszającymi naiwnego czytelnika do teatru na występy „fenomenalnego, wszechświatowej sławy śpiewaka", z dołączoną fotografią w paru pozach lub rozneglizowaną primadonną, w wysokim stopniu szkodzi sprawie kultury, poniża sztukę i artystów, naraża na śmieszność dyrekcję i w rezultacie chybia celu.

Ale miejmy nadzieję, że przy nadchodzącej stabilizacji stosunków samorządowych będzie inaczej. Wieloletnia praca propagandowa i poczynania kulturalno-społeczne prawdziwych miłośników opery doprowadziły już u czynników rządowych i samorządowych **do uznania konieczności istnienia opery, jako placówki ogólnopaństwowej, nieodzownej w każdym państwie kulturalnym,** i chociaż opera w stadium regeneracji nie będzie mogła konkurować na razie z boksem i piłką nożną, a tym bardziej z konkursami narciarskimi i hippicznymi, niemniej już obecnie można mówić o rzeczowym podejściu do tego czynnika kultury narodowej. Materialnie na wiele nas nie stać, nie mamy wielkich tradycji, akademii muzycznych tej miary, jak opera paryska, Scala lub Metropolitain, lecz w miarę posiadanych środków należy myśleć o stworzeniu placówki stałej, opartej na zdrowych przesłankach artystycznych i finansowych.

Pod rządami przypadku

Zagadnienie repertuaru operowego jest kamieniem węgielnym każdego sezonu. Gospodarka repertuarowa w odrodzonej Polsce z roku na rok stawała się coraz bardziej bezładna i przypadkowa. Były wprawdzie usiłowania określenia terminów premier i wznowień, ale zawsze tak się dziwnie składało, że prawie wszystkie terminy zawodziły. Po kilku latach i te chwalebne usiłowania zostały poniechane, i teraz wszechwładnie rządzi przypadek. Repertuar „żelazny", jako wyraz nieprzemijającej wartości dzieł operowych, twórczości rodzimej i obcej — pozostał mglistym wspomnieniem, i nawet polskie opery, znane i kasowe, wypierane były przez gościnne występy „sław zagranicznych" w otoczeniu najsłabszych sił lokalnych, o jednej próbie, albo bez próby. Tak sklecone przedstawienie wkraczało już w dziedzinę t. zw. „kryminału" muzycznego, doszczętnie kompromitując scenę warszawską, obnoszoną ze zjadliwością w wywiadach prasy zagranicznej, dawanych przez tych samych białych i kolorowych wykonawców, słono opłacanych.

A tymczasem sprawa repertuaru, nawet z uwzględnieniem występów gościnnych, nie jest tak zawiła i skomplikowana: wystarczy opracować plan na sezon naprzód, zaangażować odpowiedni personel i przygotować sezon, poprzedzając go przynajmniej 6-tygodniowymi próbami. Przy tym założeniu można ustalić stałe terminy premier i wznowień i odzyskać rzecz bodaj najważniejszą: **zaufanie publiczności**, która chętnie będzie nabywała abonamenty, tworząc stałą kadrę bywalców opery. System ten jest wypróbowany we wszystkich operach świata. Opera Narodowa, spełniając swe zadania kulturalne i propagandowe, musi w składzie swego repertuaru posiadać i wykonywać szereg arcydzieł twórczości rodzimej i obcej. Absurdalna jest sytuacja, w której przyjezdny do Warszawy przez cały sezon nie mógł usłyszeć ani „Halki", ani „Strasznego Dworu", a przez całe lata nie dawano Mozarta, Wagnera, natomiast po 20 razy na miesiąc grano operetkę.

Najlepszą reklamą będzie dobry śpiew i dobra muzyka, pełni staranności wykonawcy. Przygotowane z dnia na dzień, nieraz o jednej próbie, przedstawienie, łapanie po mieście i prowincji wykonawców do danej partii operowej, brak opracowania scenicznego — tworzyły skandale wykonawcze, zniechęcające do reszty nawet najbardziej pobłażliwych melomanów i zapaleńców.

Przyszłych kierowników opery należy wynaleźć i wykształcić, dziesiątki Polaków, nieraz pod przybranymi nazwiskami, pracują na obczyźnie; w kraju mamy kilku świetnie zapowiadających się kapelmistrzów. Wyszkolenie ich jest obowiązkiem elementarnym Funduszu Kultury Narodowej. Bezpośredni pomocnicy dyrektora to kierownik chóru i korepetytor. Do kierownictwa chóru wzorowo prowadzone teatry operowe przywiązują równą wagę, jak do kierownictwa muzycznego. Kierownicy chóru mają ten sam tytuł, co dyrygenci i zawsze wymieniani są obok dyrektora opery z tytułem maestro. Polska posiada dobrą szkołę chórów amatorskich i pewne tradycje, jednak chór operowy wymaga specjalnego przygotowania. Druga ręka dyrygenta to korepetytor; odgrywa on bardzo ważną rolę w przygotowaniu solistów — musi być skończenie umuzykalniony, wzorowo czujący rytmikę, na nim bowiem opiera się żmudna, codzienna, pełna poświęcenia i samozaparcia anonimowa i nieraz licho płatna, a tak wydajna praca. Zachłanność i wyłączność dyrektora opery zazwyczaj zbiera owoce tej pracy i rzadko doznaje korepetytor rozkoszy nawet zastępczo prowadzenia dzieła, przez siebie przygotowanego. Ale taki jest ustrój pracy i w innych dziedzinach — a na tym miejscu należy podnieść tę cichą zasługę. U nas mamy wybitny brak rutynowanych korepetytorów. Pianiści zawodowi zbyt są dumni, aby zajmować się nauczaniem prywatnym, akompaniatorzy szukają łatwiejszych zarobków koncertowych. Dobrze zorganizowana opera musi mieć pilnych wzorowych korepetytorów, którzy jednocześnie winni zastępować kapelmistrza. I ta dziedzina wymaga starannego wykształcenia i zamiłowania zawodowego, dającego jednak zadowolenie w pracy.

Drugim podstawowym czynnikiem w operze jest śpiewak. Mieliśmy i mamy w Polsce i we wszystkich operach świata śpiewaków Polaków, nieraz wysokiej klasy, jednak niepewność bytu opery w Warszawie, ciągłe jej niedomagania finansowe, przejściowi dzierżawcy, a przede wszystkim zupełny brak ustalonego repertuaru i planu zniechęca najlepsze głosy polskie, które najczęściej pod przybranymi nazwiskami stają się filarami obcych teatrów. A tymczasem niezrozumiała jest i zgubna dla rozwoju sztuki polskiej mania angażowania obcych. Jawny lub ukryty Żyd lub Moskal (nie mówimy tu, oczywiście, o występach zamiennych lub śpiewaków renomowanych) jest najbardziej popierany i angażowany w Polsce, wnosząc sobą obce wpływy, repertuar i język, tak nienawistny dla Polaka. Zgubna ta tolerancja obejmuje coraz szersze dziedziny naszej muzyki z wyraźną krzywdą dla twórczości i wykonawców w Polsce. Wprawdzie opery zagraniczne uznają również występy znakomitych gości, ale rdzeń w każdej operze opiera się na wykonawcach narodowych.

Mamy w Polsce dobre głosy, a nie mamy szkół śpiewaczych i studium operowego, opartego na racjonalnych zasadach nauczania i praktyki. Studium musi być nieodłącznym satelitą opery, złączonym z nią ideowo i życiowo. Uczniowie studium, starannie dobrani z liczby śpiewaków, posiadających warunki głosowe i sceniczne muszą żyć życiem sceny, poznawać tajniki gry, słuchać wzorowego śpiewu, nabierać doświadczenia i rutyny. Najbardziej kwieciste teoretyczne wykłady i salka pokazowa nie jest w stanie zastąpić teatru. Jesteśmy świadkami t. zw. popisów przyszłych adeptów, których po rocznych studiach ubierają nagle w stylowy kostium, szminkują i przerażonego wypychają na scenę. Rezultaty w tych warunkach są z góry znane: stracony czas, ostatnie nieraz głodowe grosze adepta i zawiedzione nadzieje życiowe. Z tą tandetą produkowania quasi śpiewaków należy raz na zawsze skończyć, a utalentowani adepci muszą być otoczeni staranną opieką i należycie szkoleni, w okresie studiów mogą z wielkim powodzeniem dla siebie i opery statystować na tej samej scenie, zastępując niezaradnych i komicznych z wyglądu i zachowania t. zw. statystów zawodowych, mogą również wykonywać drobniejsze role, stopniowo nabywając obycia ze sceną.

Wreszcie reżyser — współrzędny czynnik we współczesnej operze i dramacie muzycznym. U nas od szeregu lat nie mamy już reżyserów operowych. Posiłkowano się z musu reżyserami dramatu, bądź awansowano na reżyserów śpiewaków, przeważnie skończonych głosowo, życiowo zmęczonych i przepracowanych. Wyniki były zawsze ujemne. Opera, oparta na śpiewie, rozciągającym akcję sceniczną w ścisłym związku z muzyką lub muzyką, ilustrująca rozgrywającą się akcję psychologiczną bez śpiewu, wymaga zupełnie odrębnego podejścia .Reforma i dramat muzyczny powstały z jednej bryły geniuszu Wagnera, zjednoczyły muzykę z akcją. Ten sam twórca libretta i muzyki daje bardzo szczegółowe wskazówki co do przebiegu akcji, ale te wskazówki musi wypełnić talent artysty i śpiewaka dramatycznego w jednej osobie, umiejętnie przygotowanego i poprowadzonego przez reżysera, czuwającego nad całością i jednolitością przedstawienia. Inaczej powstaje nieznośny szablon i piła sceniczna, zniechęcająca do wysłuchania dzieła. A co mówić o takim arcydziele, jak Otello, gdzie w jedno zestrzeliły się geniusz Szekspira z librecistą Boito i z Verdim. Tylko reżyser dużej miary może dać przy pełnych talentu wykonawcach i świetnym kapelmistrzu spektakl, godny dzieła i jego twórcy.

Dlatego tak mało jest reżyserów artystów. To pokolenie dopiero musi powstać; należy je wykształcić i wychować. Najgorszy wybór to śpiewak wykonawca i reżyser w jednej osobie — taki nigdy nie potrafi podporządkować się. To samo dotyczy kumulacji małżeńskich w operze. Zbyt znane to fakty, aby je przytaczać i bliżej motywować. Tych kilka słów wystarcza, aby stwierdzić, że wynalezienie gotowego reżysera operowego jest bardzo trudne, łatwiej go wykształcić z liczby pełnych zapału muzyków o wszechstronnej kulturze teatralnej i artystycznej, którzy tylko temu zadaniu się poświęcą. Tymczasem trzeba z musu korzystać z doświadczenia kilku śpiewaków rutynistów, których praktyka po scenach światowych wiele nauczyła.

Opera ma trzy podstawowe czynniki zespołowe: orkiestrę, chór i balet. Mówiąc o nich, należy uzbroić się w wielki zasób wyrozumiałości, jeśli chodzi o nasze stosunki. Nie można winić zespołów, pracujących w bardzo ciężkich warunkach, o płacy mizernej, nieraz głodowej , zmuszonych dorabiać dorywczo na mieście, lecz trzeba stworzyć im normalne podstawy bytu. Jednocześnie sprawy nie można traktować filantropijnie tam, gdzie tworzy się nowe życie. „Przeżytych kształtów żaden cud nie wskrzesi do istnienia". Jakże mocno należy to powtórzyć i zastosować bezwzględnie w tym wypadku. Wprawdzie wysoce cenieni są i niezbędni artyści rutynowani, lecz niemożliwy jest stan, w którym młodzi muzycy, kończący chlubnie konserwatorium, nieraz bardzo utalentowani, czekają godzinami na przygodne zatrudnienie pod muramii Filharmonii (sic!), na nocnym dancingu, dlatego, że może angażować po cenie minimalnej muzyków emerytów, bo to się handlowo kalkuluje. A sytuacja chóru! Przecież to są śpiewacy, mający doświadczenie, przychodzący na próbę i przedstawienie nieraz dwa razy na dobę, a zmuszeni są dorabiać poza operą. O balecie lepiej nie mówić i nie pisać — głodowe pensje przy wielkich zdolnościach i ambicjach szybko wyczerpują młode organizmy. Do liczby szczęśliwców, mogących dorabiać nauką tańców, tak niewiele należy.

Ta sprawa zespołów, obejmujących w sumie z górą 200 rodzin, jest ciężką plamą i troską z puktu widzenia społeczno-zawodowego i nie może być rozwiązana przez przygodnego dzierżawcę. Praca zespołów nie znosi dorywczości i musi opierać się na systematycznym szkoleniu i nie powstaje z dnia na dzień. Tylko normalnie prowadzone wyszkolenie, nauka teorii i sofeggio mogą stworzyć i wydać chór zawodowy, stojący na wysokości zadania, tak samo, jak długotrwałe próby dają zgraną orkiestrę, a żelazna praca szkoły zawodowej stworzy zespół technicznie i artystycznie dobry. Te szkoły, to jest studium, szkoła chórów i baletu muszą być stale czynne i wtedy dopiero dadzą piękny plon. Ze spokojem możemy stwierdzić, że do stworzenia zespołów wzorowych mamy materiał zdolny i odpowiednich kierowników. Trzeba tylko to zorganizować i umieć w te poczynania tchnąć ducha dobrej wiary oraz święty zapał służenia sztuce polskiej.

Odwrotna strona medalu to budżet i finansowanie. Finansowanie opery musi się opierać, tak, jak wszędzie, na subsydiach stałych i własnym dochodzie. Przy obecnym stanie sprawy, wobec zaniku zainteresowania i zaufania szerszych mas, nie można liczyć od razu na frekwencję, o ile sprawa repertuaru i wykonania będzie traktowana zasadniczo. Tę pozycję dochodowa trzeba traktować bardzo ostrożnie. Przewidywane są subsydia w postaci: a) stałej dotacji z budżetu państwa pół miliona, b) stałego zasiłku miasta 340 tysięcy i c) z dochodów z przekazanych gmachów teatralnych (160 tys.?). Te trzy źródła razem muszą pokryć około $^5/_6$ budżetu normalnego, który obliczamy wg poniżej przytoczonego preliminarza, dostosowanego do wyżej podanych współczynników, obliczonego bardzo oszczędnie na sumę ogólną 1 miliona 200 tysięcy złotych. W tym preliminarzu przewidujemy dochód własny w wysokości 200 tys.

Druga sprawa zasadnicza to stosunek do zespołu i solistów. **Tylko zapewnienie trwałego bytu zespołom i solistom może ich związać na stałe z instytucją opery i zapewnić ciągłość rozwoju artystycznego i kasowego.** Budować trzeba wszystko od fundamentów, a więc w porządku podamy preliminowane sumy, odpowiadające minimalnym wymaganiom opery, godnej nazwy narodowej i utrzymywanej przez państwo i miasto.

Orkiestra powinna się składać z 80 muzyków z płacą przeciętną miesięczną 350 zł (od 250 do 400) zależnie od grupy i uzdolnienia, co czyni rocznie 28.000 × 12 = 336.000 zł. Bierzemy pod uwagę 10% odpoczynku dziennego — w ten sposób liczba wykonawców wynosi minimum 72 osoby. Orkiestra poza sezonem operowym, tak, jak wszystkie zespoły, korzysta z miesięcznego płatnego urlopu. W okresie, kiedy opera nie jest czynna, może być eksploatowana na rzecz budżetu ogólnego. Przyjęcia na mocy konkursu wolnego, z uwzględnieniem części sił rutynowanych.

Chór — osób 60, po 200 zł miesiecznie (od 150 do 250zł), co stanowi rocznie 12.000 × 12 = = 144.000 zł. Przy chórze szkoła chóralna, przygotowująca adeptów muzycznie i głosowo. Adepci mogą jednocześnie statystować za opłatą.

Balet — 60 osób, przeciętnie po 180 zł miesięcznie (od 120 do 250 zł). Przy balecie szkoła baletowa, obecnie prowadzona przez miasto i Min. Oświaty — rocznie 129.600 zł.

Zespół techniczny — 40 osób, płace sezonowe — ryczałt 100.000 zł.

Premiery i wznowienia (dekoracje) 6 × 15.000 = 90.000 zł.

(Dokończenie na str. 8-mej)

http://rcin.org.pl

Prof. PIOTR RYTEL

Kto ma w Polsce ratować kulturę muzyczną?

W Sejmie już nas porównują z Albanią

W sferach wysokich, przeto oddalonych od sztuki o całe mile, tak mało oddźwięku znajduje muzyka, owa prawdziwa, poważna, będąca wyrazem duszy twórcy i narodu, że poruszenie w Sejmie kwestii muzycznej wywołało w kołach artystycznych wrażenie — piorunujące niemal. Ale w sensie dodatnim: nareszcie sprawa muzyczna ruszyła z martwego punktu.

Istnieje wszakże i druga strona tego medalu.

Wicemarszałek, dr L. Surzyński, w przemówieniu swym **porównał Polskę z Albanią.** W obradach komisyjnych wskazywano na fakt nikłych dotacji państwa na rzecz muzyki. Domagano się pieniędzy.

Nie słyszeliśmy wszakże i nie słyszymy, by poddano właściwej analizie **przyczyny** owego kompromitującego naszą kulturę faktu: **zejścia Polski na poziom... Albanii.**

Bo wszyscy wiemy doskonale, że ani w czasach niewoli politycznej, ani bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości, poziom sztuki, a w szczególności muzyki, nie był bynajmniej katastrofalnie niski. Zaszła więc zmiana fatalna. Są, bo muszą być przyczyny i powody tej zmiany, Czyżby brak pieniędzy i zmniejszenie przeto dotacyj?

Śmiem twierdzić, że nie.

Od dwudziestu lat istnieją u nas instytucje, bądź urzędy, których zadaniem jest popieranie sztuki w pojęciu najszerszym. Były lata, kiedy nie odczuwano tam braku pieniędzy. Na samą muzykę w jednym tylko ministerstwie, wydawano rocznie po 600 tysięcy złotych! Miliony szły na operę z funduszów miejskich itp. Jakiż tego tezultat po upływie szeregu lat? Porównanie z Albanią...

Miliony, literalnie miliony podatkowych pieniędzy wyłożono na akcję muzyczną. Był czas, że państwo z funduszów publicznych opłacało naukę muzyki, pobieraną przez dzieci funkcjonariuszów i urzędników państwowych w muzycznych szkołach prywatnych. Z tych, po 40 złotych miesięcznie zapomóg utrzymywały się dość wówczas liczne w Polsce uczelnie.

Gdybyśmy policzyli, ile pieniędzy wydano na organizację koncertów „propagandowych" za granicą, za jakie sumy kupowano te rzekomo „wielkie powodzenia" owych imprez, a gdybyśmy je zestawili z tymi sumami, pożytek ich dla naszej kultury! Kilku ludzi, specjalnie uprzywilejowanych, poznawało świat i zmuszało ów świat do słuchania ich muzyki, ich popisów kapelmistrzowskich. Oto wszystko. Żadnego oddźwięku na dłuższą metę za granicą (bo i dziś trzeba grubo opłacać wystawianie dzieł polskich), a w kraju — Albania.

Gdybyśmy policzyli, ile nadrukowano makulatury, zanim pod naciskiem skandalu (w Berlinie odmówiono wykonania „Strasznego Dworu" li tylko dlatego, że Polska nie mogła dostarczyć dobrego materiału nutowego, bo go... nie posiadała sama) nie zdobyto się na wydanie w druku arcydzieł Moniuszki.

Gdybyśmy policzyli pieniądze, idące na popieranie pism, przez które ich redaktorzy robili sobie i swoim bliskim reklamę...

Gdybyśmy uprzytomnili sobie ową historię z t. zw. „Baletem polskim", który wcale nie jest potrzebny w Polsce, a zagranicą bynajmniej sztuki naprawdę polskiej nie reprezentuje...

Gdybyśmy wyliczyli dalej całą masę błędów i fałszywych pociągnięć, braków w organizowaniu i utrwalaniu placówek pożytecznych, w traktowaniu z niechęcią jednostek, które można z korzyścią dla sztuki i kultury wyzyskać, przy jednoczesnym wysuwaniu na plan pierwszy osób, których działalność umożliwia później porównanie Polski z najbardziej zapadłym kulturalnie państwem bałkańskim...

Możeby wtedy dało się odsłonić rąbek przyczyn tego upadku.

Ale tylko rąbek. Bo przyczyną istotną jest co innego jeszcze: **niezrozumienie zadań i celów sztuki przez ludzi, dla których to rozumienie winno być nie luksusem estetycznym, lecz obowiązkiem podstawowym.**

Rozumienie to nie jest rzeczą małą, drobną, powszednią. Trzeba być człowiekiem ponad miarę przeciętną, by rozumienie to osiągnąć. Ale gdy się jest o tyle małym, że się nie umie lub nie może wznieść na ten poziom, to, mimo wydatkowania milionów, **spycha się Polskę tak nisko, jak to się w Sejmie stwierdza.**

Walka o wpływy, o znaczenie, o stanowiska, o subsydia, o nagrody, ordery; walka o wygodę w życiu, o imponowanie — nie sztuką, lecz zdobyczami natury poziomo-materialnej; ta walka o cele, prawdziwej sztuce obce, nie przyczyniła się do wyrobienia charakterów, ani do wzniosłego patrzenia na świat i sztukę.

A ta walka była i trwa, niestety. Stała się ona niemal osią naszego życia artystycznego.

Że spaczyła ona wiele talentów, że zepchnęła je na teren, mało mający ze szlachetną sztuką wspólnego — to chyba jasne.

Pieniędzy! Pieniędzy! słyszymy wołanie. Oczywiście, nic bez środków materialnych uczynić z zakresu organizacji nie można. lecz gdzie gwarancja, kto ją daje, że pieniądze te, nie raz przez komornika wyciśnięte, nie pójdą na marne, tak, jak to było przez lat wiele?

Czy pieniądze te pójdą do rąk bankrutów artystycznych? Czy naprz. półmilionową sumą, dla Warszawskiej Opery przeznaczoną, dysponować będą ci, co elementarnego egzaminu solidnej pracy zdać nie mogli? Czy rozporządzać owymi funduszami będą ludzie, więcej ambitni, niż artystyczni? Więcej pewni siebie, niż pewną ich jest muzyka?

I kto ustali owe granice kwalifikacji, gwarantujące pożytek dla sztuki z wydatkowania z trudem zdobytych pieniędzy?

Zagadnienie to kapitalne. Zasadnicze. Nie załatwi się tej sprawy na kolanie.

Grupa muzyków, do średniej wiekiem generacji należących, wysunęła żądanie stworzenia „ośrodka dyspozycyjnego", o czym pisałem w numerze poprzednim „Obrony Kultury".

Dziwi mnie w dalszym ciągu dążenie tej grupy do załatwienia tak trudnej i skomplikowanej kwestii, jak upadek w Polsce kultury muzycznej, w drodze przede wszystkim administracyjnej. Nie mam powodu powątpiewania o dobrej woli tej grupy. Natężając swoją własną dobrą wolę, mógłbym może zrozumieć chęć uregulowania wielu spraw w drodze rozporządzeń i uchwał, pięknie wyglądających na papierze. Ale tylko w tym jednym wypadku, gdyby bez jakiejkolwiek wątpliwości twierdzić było wolno, że regulacja będzie dziełem artystów miary bardzo wysokiej i ludzi nie podejrzanych w sensie bezstronności, wolnych od zarzutu należenia do partii, paczki, kliki lub towarzystwa adoracji wzajemnej. Co najmniej przecież winno chodzić o gwarancję, **że marnowanie pieniędzy w latach poprzednich nie powtórzy się w formie zmienionej: pod inną firmą.**

Gwarancji takiej nie może dostarczyć żaden urzędnik, ani paragrafami myślący „artysta". Mógłby ją dać jedynie ten, **kto naprawdę cele i wszystkie zadania sztuki rozumie. Kto wie, że nietylko nepotyzm, ale i kompromis jest zgubą w sztuce. Kto, żyjąc w Polsce Niepodległej, miał oczy otwarte i widział, i zrozumiał, dlaczego jego ojczyzna w dziedzinie muzyki stoczyła się na poziom Albanii (bo w Bułgarii już jest lepiej).**

Sądzę, że razem ze zrozumieniem rzeczy zasadniczej wyłonić się winna myśl stworzenia nie „ośrodka dyspozycyjnego", **lecz punktu, promieniującego na sztukę i kulturę polską.** Siła sztuki, podobnie jak religii, jest nie z tego świata. A już na pewno nie ze świata okólników, rozporządzeń, dyspozycji. Nie z atmosfery politycznych walk, tarć i podstępów.

Dlatego wartoby było myśleć **o stworzeniu ogniska wysokiej kultury muzycznej, którego promienie sięgałyby daleko.** Jasne, że ogniska takiego, początkowo w ciasnych nawet ramach, dzisiaj w Polsce stworzyć nie jest łatwo. Ale byłoby bardzo źle, gdyby stworzyć takiego ogniska nie było już można. Tak źle nie jest na szczęście. Lecz i to jest pewne, że nie rozpraszać, lecz skupić należałoby siły, do promieniowania zdolne. A zdolność promieniowania trzebaby ustalić drogą uczciwie artystyczną. Nie na zasadzie opinii urzędniczych, partyjnych lub miękkim sercem przyjaciela podyktowanych .

Taki „ośrodek", promieniujący sztuką i kulturą w pojęciu najwyższym (żadnych kompromisów być tutaj nie może!), miałby się stać **zaczątkiem odrodzenia i powracania na miejsce należne uczciwej polskiej muzyki.** Wraz z tym musiałoby obudzić się zaufanie społeczeństwa, dziś na dobre utracone, na skutek fatalnej akcji przez szereg lat wielu. Zetknięcie się zdrowych promieni z zaufaniem społeczeństwa stałoby się fundamentem, na którym możnaby już budować gmach większy. Potęga działania takiego ośrodka polegałaby **na zdrowej, szlachetnej i wzniosłej myśli, na idei i ideologii, z ducha narodu poczętych.**

Że nie byłoby tutaj miejsca na kłamstwo, blagę, tumanienie frazesami, na popieranie akcji świadomie rozkładowej — to pewne. W tym też leży jedna z głównych trudności stworzenia ośrodka, promieniującego wysoką, uzdrawiającą kulturą. Zbyt wiele czynników wrogich wystąpiłoby przeciwko takiemu ośrodkowi. Zbyt wielu nawykło do wygód — w Albanii muzycznej polskiej. **Ale jednak przyjść kiedyś musi do oczyszczenia atmosfery.**

Byłbym szczęśliwy, gdyby „Obrona Kultury" zdołała zadanie to uskutecznić i przyśpieszyć.

Kronika muzyczna

W 30-tą rocznicę zgonu Mieczysława Karłowicza odbył się szereg uroczystości dla uczczenia pamięci przedwcześnie zmarłego w 1909 r. w Tatrach wielkiego twórcy polskiego. Rano dnia 8 bm. odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne w kościele archikatedralnym Ś-go Jana, poczym nastąpił pochód na cmentarz Powązkowski, gdzie złożono wieńce na grobie kompozytora. W czwartek 9-go lutego odbył się z Zakopanego transmitowany na wszystkie rozgłośnie polskie wielki koncert symfoniczny poświęcony twórczości M. Karłowicza. W niedzielę 12-go lutego w sali im. M. Karłowicza w siedzibie Warsz. Tow. Muzycznego przy ul. Sienkiewicza 8 nastąpiło otwarcie wystawy pamiątek i rękopisów po śp. M. Karłowiczu. W dzień rocznicy zgonu ukazał się staraniem Sekcji im. Karłowicza, a w zasiłku Funduszu Kultury Narodowej pierwszy tom monografii o Mieczysławie Karłowiczu pióra prof. dr Ad. Chybińskiego.

Muzyka polska za granicą. W Londynie wykonano na koncercie Royal Akademy of Music kompozycję wilnianina prof. Tadeusza Szeligowskiego „Fantaisie rapsodique" na skrzypce i fortepian. Wykonawcami byli skrzypek Harry Blech i pianista Alan Bush (Royal Academy of Music jest obok Królewskiego Towarzystwa Filharmonicznego najpoważniejszą instytucją muzyczną Londynu). Utalentowana śpiewaczka polska p. Irena Kobryn-Kobrzyńska, zamieszkała w Bułgarii, gdzie koncertuje często, propagując piękno pieśni polskiej, dała w Paryżu koncert przed mikrofonem rozgłośni Radio-Paris. Program wypełniły wyłącznie pieśni kompozytorów polskich, jak Komorowski, Frieman, Karłowicz, Szopski, Młynarski. Pani Kobryn-Kobrzyńska została zaproszona przez dyrekcję wielkiej opery paryskiej na występy w b. sezonie w „Aidzie" i „Fauście". — W niedzielę 5 bm. wystąpiła przed mikrofonem radiostacji kopenhaskiej polska artystka-skrzypaczka Irena Dubiska, która wykonała program, złożony z utworów kompozytotów polskich: Wieniawskiego, Szymanowskiego, Statkowskiego i in.

Obrona kultury opery w Polsce

(Dokończenie ze str. 7-mej)

Honoraria autorskie — 50.000 zł.

Administracja — 30.000 zł rocznie (kierownik 800 zł, sekretarz — 400 zł i 4-ch pracowników po 200 zł, 3 kontrolerów (500 zł).

Kierownictwa artysyczne: dyrektor 1000, zastępca 500 zł, 3-ch korepetytorów 2 × 400, 1 — 300 zł razem 30.000 rocznie.

Reżyser — 500 zł, zastępca 300 zł, 2-ch inspicjentów — 600 zł, 2-ch suflerów — 500 zł, razem 24.000 zł rocznie.

Dyrektor chóru i szkoły chóru — 500 zł, zastępca 300 zł.

Dyrektor baletu—500 zł, zastępca—300 zł, akompaniator, pisarz, wydatki szkoły — 8.000 zł rocznie .Razem balet rocznie 129.600 złotych.

Soliści stali:

2 tenory × 800; 3 tenory × 400 =	2.800 zł
2 barytony × 500; 2 barytony × 300 =	1.600 „
2 basy × 500; 2 basy × 300 =	1.600 „
3 soprany × 600; 3 soprany × 300 =	2.700 „
2 mezzosop. × 400; 1 mezzosop. × 300 =	1.100 „
1 alt × 400; =	400 „
Razem płaca miesięczna 23 stałych solistów	10.200 zł.

Zestawienie ogólne.

Orkiestra (80 osób po 350 zł) =	336.000 zł
Chóry (60 osób po 200 zł) =	144.000 „
Balet (60 osób po 180 zł) =	129.600 „
Zespół techniczny (ryczałt) =	100.000 „
Premiery i wznow. (6 po 15.000) =	90.000 „
Honoraria autorskie =	50.000 „
Kierownictwo artyst. i muzyczne =	74.000 „
Administracja =	30.000 „
Soliści stali =	122.400 „
	1.076.000 zł
Występy gościnne, imprezy ideowe, reprezentacyjne, statyści itp.	100.000 zł
Wydatki nieprzewidziane	34.000 „
Razem roczny budżet	1.200.000 zł.

Budżet ten uwzględnia pozycje, obliczone bardzo oszczędnie. Należy przewidzieć możność przekroczenia w miarę posiadanych środków obrotowych i pomyślniejszego stanu kasy, niż przewidziane 200.000 zł. Wychodzimy z założenia zupełnego zwolnienia opery od podatków, pełnego używania świadczeń, udzielanych przez miasto w dotychczas stosowanych wymiarach. Luz budżetowy w wysokości 134.000 zł. przy umiejętnej gospodarce i względnym powodzeniu kasowym pozwoli na wydatniejsze sybsusydiowanie studium operowego o ewentualne stypendia dla adeptów. Dając powyższe uwagi i zestawienia, mamy całą świadomość ich niedoskonałości; podajemy je jedynie, jako substrat dyskusyjny, oparty na doświadczeniach lat ostatnich. Zapewne budżet ten nie daje całkowitego zaspokojenia nieraz słusznych żądań solistów i zespołów, ale dyktowała go troska o stabilizację stosunków, opartych na zdrowych zasadach normalnej pracy w ciężkich obecnych warunkach. Zdajemy sobie sprawę, że wykonanie tego budżetu wymaga pełnej poświęcenia pracy przez wszystkie czynniki, należące do opery, jednak wierzymy, że przyczyni się do stworzenia placówki trwałej i zapewni spokojną pracę odradzającej się operze.

* * *

Obraz ogólny nie byłby kompletny, gdybyśmy nie zastanowili się choćby przykładowo nad **repertuarem stałym,** bez żadnej pretensji do nieomylności. A więc opery polskie: Halka, Straszny Dwór, Hrabina, Verbum Nobile, Flis, Goplana, Casanova; opery obce: Aida, Otello, Rigoletto, Trubadur, Traviata, Tosca, Turandot, Cyganeria, Butterfly, Faust, Romeo i Julia, Manon, Lakme, Carmen, Hugonoci, Onegin, Demon, Don Juan, Wesele Figara, Cyrulik, Don Pasquale. Opery komiczne: Piękna Helena, Życie Paryskie, Madame Angot, Wagnera Tanhäuser, Lohengrin, Walkirie. Balety: Harnasie, Pan Twardowski, Szeherezada, Jezioro Łabędzie — ogółem 35 wieczorów operowych, co z 6-ma premierami i wznowieniami stanowi 40 dzieł.

Przy tym zestawieniu stajemy wobec ogromu pracy przygotowawczej, która musi trwać co najmniej dwa miesiące przed sezonem, przy czym artyści pierwszej klasy winni mieć partie przygotowane.

Przy tak zakreślonym repertuarze należałoby powiększyć siły kierownicze i przygotowawcze, co znów powiększy budżet o 20%.

Kończąc nasze uwagi, bylibyśmy wdzięczni wszystkim osobom życzliwym i kompetentnym, aby raczyły poddać je rzeczowej krytyce i tym przyczynić się do załatwienia tak ważnej dla kultury narodowej sprawy.

http://rcin.org.pl

IRENA PANNENKOWA

Skutki reformy jędrzejewiczowskiej

Różnotorowość szkoły powszechnej jest sprzeczna z jednolitością formalno-ustrojową szkoły średniej

Obok wielu innych, bardziej ogólnych czy bardziej specjalnych „spraw“ w dziedzinie kultury, istnieje w Polsce także sprawa szkoły średniej.

Istnieje nie tylko w sensie pedagogicznym i ustrojowym, ale także, jako zagadnienie ekonomiczno-budowlane oraz jako problem o szerszym tle kulturalno-społecznym.

Narzucona przez reformę jednolitość organizacyjna i programowa szkół średnich, zwłaszcza ogólnokształcących (4-letnie gimnazjum i 2-letnie liceum), budowa programów, przeciążenie w jednych przedmiotach, niedostateczne rozwinięcie innych (np. w nauce języków obcych) wzbudzają daleko idące wątpliwości i krytyki z pedagogicznego i dydaktycznego punktu widzenia.

Nadto od r. 1935/6 trwa wzmożony i wzmagający się z każdym rokiem szturm kandydatów do szkoły średniej w związku ze zwiększonym w pierwszych latach powojennych przyrostem urodzeń. Te roczniki właśnie od roku 1928/9 napływały do szkoły powszechnej, a od 1935/6 napływają do szkoły średniej. Tymczasem liczba szkół średnich jest w stosunku do rosnących wciąż potrzeb katastrofalnie mała. I to pomimo, że na terenie zwłaszcza byłej Kongresówki, szkolnictwo prywatne w znacznej mierze wyręcza Skarb Państwa w zaspokajaniu potrzeb społeczeństwa w tej dziedzinie. I pomimo, że ogromne masy dzieci chłopskich, a częściowo i robotniczych, przy dzisiejszej organizacji szkolnictwa nie mają w ogóle dostępu do szkoły średniej. Tu się odsłania właśnie *kulturalno-społeczne* oblicze tego, cośmy nazwali *sprawą szkoły średniej.*

Z pośród przełomowych prądów socjalnych w Polsce współczesnej na plan pierwszy wysuwają się: polityczna emancypacja ludu polskiego z towarzyszącym jej rozwojem nowych potrzeb i dążeń oświatowo-kulturalnych, oraz proces unarodowienia przemysłu i handlu, czyli tworzenia się polskiego mieszczaństwa.

Tym procesom odpowiada potrzeba upowszechnienia oświaty elementarnej, udostępnienia zdolnym absolwentom szkół powszechnych wykształcenia średniego, ogólnego lub zawodowego, najzdolniejszym zaś — wykształcenia wyższego. Tylko w ten sposób można doprowadzić do utworzenia elity rzeczywistej, nie koniunkturalnej, tj. nie opartej tylko na takim, czy innym materialnym przywileju.

Najżywotniejsze interesy narodu i Państwa Polskiego harmonizują z tym żywiołowym pędem szerokich mas ludowych do oświaty i do przejęcia twórczej współodpowiedzialności za teraźniejszość i przyszłość Polski.

Szkoła powszechna daje naogół tylko formalne podstawy i niejako *instrumenty* nauki, tj. sztukę czytania, pisania i rachowania, wraz z pewną sumą wiadomości najbardziej elementarnych, czyli otwiera tylko możliwości dalszego kształcenia się. Jednak szkoła, najniżej zorganizowana, niestety, najbardziej dziś na wsi rozpowszechniona, nie daje nawet tego, tak, że po jej ukończeniu obserwuje się nierzadko zjawisko powrotnego analfabetyzmu.

Dopiero szkoła średnia udziela nauki, systematycznie uporządkowanej, z naciskiem bądź na wykształcenie ogólne, bądź też na zawodowe. Tylko ona otwiera najzdolniejszym drogę do wyższych uczelni, tylko ona też, rzecz także istotna i naogół niedoceniana, dać może średnio zdolnej, czyli najliczniejszej młodzieży dostateczną podstawę oświatowo-kulturalną do należytego orientowania się w otaczającej rzeczywistości, do pełnego uświadamiania sobie swoich praw i obowiązków oraz do odpowiedniego wywiązywania się z przyszłych funkcyj zawodowych.

Drobny rolnik, drobny kupiec czy przemysłowiec, technik czy buchalter czy inny pracownik najemny ze sfery drobnomieszczańskiej powinien mieć średnie wykształcenie specjalne i ogólne, by dobrze odpowiedzieć swym zadaniom obywatelskim i fachowym. Tak się dzieje na Zachodzie, zwłaszcza w przodujących ogólnym poziomem kulturalnym krajach skandynawskich.

W jakiejże mierze organizacja oświatowa polska odpowiada tym palącym, przez życie wysuwanym postulatom rzeczywistości polskiej?

Przez pierwsze 10 lat odrodzonego istnienia państwowego Polski był pewien rozpęd w tym kierunku i względnie dużo zdziałano. Niestety, akcja reformatorska p. Jędrzejewicza stanowi tu moment przełomowy w sensie... wstecznym. Zrywa ona przede wszystkim, świadomie czy nieświadomie, ze szczytną polską tradycją wiary w wielką doniosłość i powagę *misji oświatowo-kulturalnej* w ogóle, ze wzniosłą i płodną tradycją czci dla nauki, szacunku i uznania dla nauczycielstwa i jego ofiarnej pracy, jak również ojcowskiego, ufnego i serdecznego stosunku wychowawców do polskiej młodzieży. Nie liczy się, albo co najmniej bardzo niedostatecznie się liczy z żywiołowymi aspiracjami i dążeniami oświatowymi szerokich mas ludowych, ani z interesem ogólno-narodowym, który wymaga zadośćuczynienia tym aspiracjom i dążeniom, wymaga też koniecznie dźwignięcia na wyższy poziom rolnictwa oraz wyrabiania inteligentnego i silnego mieszczaństwa.

Stąd powstała wielotorowość szkoły powszechnej, z najczęstszym na wsi typem szkoły najniżej zorganizowanej, nie dającej dostępu do szkoły średniej, i zarazem jednotorowo pod względem organizacyjnym zbudowana szkoła średnia (4-letnie gimnazjum i 2-letnie liceum), wbrew opinii nauczycielstwa, przymusowo i wyłącznie narzucona społeczeństwu.

W rezultacie nastąpiło *wybitne obniżenie poziomu szkoły średniej, która, w sposób pedagogicznie nie przemyślany, rozbita na dwie części, przestała tworzyć całość, zdolną do podjęcia i przeprowadzenia określonych zadań kształcących i wychowawczych.*

Ludzie, interesujący się tymi sprawami, mają nadto w żywej pamięci rewelacyjne cyfry, ogłoszone w r. 1937 przez pracownika Ministerstwa W. R. i O. P., wybitnego działacza oświatowego, p. M. Falskiego, cyfry, które plastycznie ilustrują *odcięcie większości dziatwy wiejskiej nawet od wyżej zorganizowanych szkół powszechnych* — i tym bardziej od szkoły średniej.*) Cyfry te dotyczą roku 1935/6. Od tego czasu jednak te specjalne stosunki, o ile nie pogorszyły się, to z pewnością nie uległy poprawie.

Otóż w szkołach powszechnych odsetek uczniów VI klasy w stosunku do klasy I-ej dla dzieci drobnych rolników i robotników rolnych wynosi tylko 35,4 do 15,7%! Odsetek ten spada w miarę zmniejszania się posiadanego przez rodziców gruntu: 35,4% wynosi dla rolników, posiadających 15 do 50 ha, czyli dla arystokracji chłopskiej; dla małorolnych (do 5 ha) — już tylko 17,3%, dla robotników rolnych — 15,7%. Przeciętnie okazuje się mniej, niż ⅓, a jeśli chodzi o najuboższy żywioł, *to nawet znacznie mniej, niż ¼, dzieci chłopskich kończy właściwą, prowadzącą do szkoły średniej, szkołę powszechną!*

*) Marian Falski: „Środowisko społeczne młodzieży a jej wykształcenie“. Nakład Ministerstwa W. R. i O. P. Warszawa 1937.

Odsetek uczniów I klasy *gimn.* w stosunku do uczniów I klasy szkół *powszechnych* dla dzieci drobnych rolników wynosi: przy 15 do 50 ha gruntu — 4,1%, przy 5 do 15 ha — 1%, a przy gospodarstwach do 5 ha tylko ½%! Dla tej najliczniejszej wśród chłopów polskich kategorii, na *200* dzieci, wstępujących do szkoły powszechnej, *zaledwie jednemu udaje się przedostać do szkoły średniej!*

I taki ustrój szkolny nazwano jednolitym!

Istotną cechą ustroju jednolitego jest taka organizacja, by uczeń ze szkoły powszechnej mógł bezpośrednio się dostać do szkoły średniej, a stamtąd do wyższej uczelni, czyli, aby te trzy kondygnacje nauczania komunikowały się z sobą w *jednolitym w tym znaczeniu gmachu szkolnictwa.* To jest dla postulatu jednolitości charakterystyczne — i to jest słuszne. Wszystko inne, co się wprowadza w treść tego pojęcia, ma znaczenie albo drugorzędne ,albo szkodliwe, jak np. właśnie idea przymusowego narzucania społeczeństwu *jednego tylko, programowo i organizacyjnie, typu szkoły średniej.*

Pisząca te słowa w wydanej jeszcze w r. 1925 broszurze „Nowe myśli o wychowaniu (Reforma szkolna)“**) stwierdzała i ostrzegała, że istota jednolitości szkolnictwa polega na tym, aby

„ze wspólnego fundamentu możliwie jednolitej szkoły powszechnej wyrastała możliwie różnolita... szkoła średnia“... (str. 29).

I jeszcze raz:

„idea szkoły jednolitej stoi i pada... z możliwie bogatym rozgałęzieniem szkoły średniej, wyrastającej z jednego pnia szkoły powszechnej. Inaczej byłoby to drzewo karykaturalnie cienkie, ...chore, życiowo nieodporne, nie dające ani cienia ani owoców“ (str. 30).

W innym miejscu, w szczególności:

„Trafną bezwzględnie wydaje się myśl tworzenia dwóch typów szkół średnich ogólnokształcących: liceów o zakresie mniej więcej dzisiejszych 6 klas gimnazjalnych, i gimnazjów o zakresie klas 8-miu“ (str. 20 tamże).

Reforma jednak p. Jędrzejewicza poszła drogą *wręcz przeciwną:* przy różnotorowej szkole powszechnej stworzyła jednolitą pod względem formalno-ustrojowym szkołę średnią.

Rezultaty są znane. Doszło też już dzisiaj do tego, że współpracujący do niedawna z p. min. Świętosławskim, jako naczelnik wydziału programowego w Ministerstwie, doskonały znawca spraw szkolnych, dziś docent uniwersytetu, p. Bogdan Suchodolski, w cytowanym już kiedyś w tym miejscu artykule, zwraca uwagę:

„Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, iż, decydując się na tak głębokie — a jak sądzę — tak szkodliwe zróżnicowanie szkoły powszechnej, upieramy się stanowczo i oddawna przy bezwzględnie jednolitym dla całego Państwa rozwiązaniu ustrojowo-organizacyjnym szkoły średniej“.

I przypomina, że w Niemczech po analogicznym eksperymencie, również nieudanym, zorganizowano dwa różne typy szkoły średniej, i w reformach hitlerowskich *zachowano je,* aczkolwiek pomysł zrodził się jeszcze *w republice wejmarskiej.* Oświadcza wreszcie, że, jego zdaniem,

„nieuchronne się wydaje wprowadzenie dwu lub kilkotorowego ustroju szkolnego w zakresie szkoły średniej, z chwilą, gdy przestaniemy się łudzić co do społecznej wartości naszej dotychczasowej polityki szkolnej“.

Łudzić się w tej sprawie jest już chyba coraz trudniej. Zmiana istotnie wydaje się nieuchronna. Im prędzej nastąpi, tym lepiej.

**) Nakład Chrześc.-Narodowego Stowarzyszenia Szkół Powszechnych.

O dążeniach katolickich w twórczości Żeromskiego

Odczyt Stanisława Miłaszewskiego

W dn. 7 bm. w sali odczytowej Domu Katolickiego im. Piusa XI w Warszawie odbył się *wieczór literacki Zjednoczenia Pisarzy Katolickich.* Na wieczorze był obecny *J. E. Ks. Biskup J. Gawlina* i licznie zgromadzona publiczność. Przybyłych gości przywitał wiceprezes Zjednoczenia p. *Leon Radziejowski,* po czym znakomity pisarz p. sen. *Stanisław Miłaszewski* wygłosił odczyt pt. *„Od bożyszcza do smętka“* (Dążenia katolickie w twórczości St. Żeromskiego).

Na wstępie prelegent podkreślił, że głównym motywem twórczości Żeromskiego jest walka z istotą zła. W poznaniu istoty szatana Żeromski przechodzi dwa zasadnicze okresy. W pierwszym z nich zło uosabia bożyszcze w „Róży“.

„Niechaj wygasa, zamiera miłość święta, miłość w łonie niosąca, piękna wiecznie. Niechaj nikczemne oszczerstwo toczy najczcigodniejszą sławę... Wzmagaj się, nienawiści sekretna, niewytrzebiona, równa sile życia i sile śmierci. Wzmóż się ciemności, rozszerz nędzo!“

— oto program bożyszcza — ducha zła.

Demoniczny charakter bożyszcza uwydatniają głosy straconych bojowców w „Róży“:

„Dajmonionie!... kapłanie, który czystości swej nie tracisz, przechodząc wpoprzek zła... Ty, któryś jest wiekuistą żądzą wszystkości, któryś jest wieczny głód daremnie pożądający, któryś jest bunt, głęboko ukryty“.

Dualistyczna istota zła, ucieleśniona w bożyszczu, dążąca ku dobru przez nurzanie się złem, świadczy

„o bolesnym sądowaniu po omacku głębin diabelstwa przez człowieka“.

Smętek w „Wietrze od morza“ jest prostszy. Tu Żeromski krystalizuje pojęcia zła. Jest uosobieniem zbrodni, podżegania oraz

„swawolnej, demoralizatorskiej działalności“.

Długo czart ten gra rolę inspiratora, wysłannika antychysta w dziejach ludzkich:

„Lecz smątek w walce ze św. Wojciechem widzi, że śmierć świętego nie piekłu przyniosła zwycięstwo, lecz niebu“.

W ten sposób, stwierdziwszy rzeczywistość szatana, Żeromski wrócił do Boga rdzeniem serca:

„Najgłębszymi definicjami dojrzałego rozumu doszedł do tego samego, co mu w dzieciństwie odkryła prosta wiara“.

W notatce przedśmiertnej pisze:

„Kiedy leżymy na ziemi powaleni przez nieszczęście, kiedy strugi łez wylewamy w kamienie, coś zdobywamy, gdzieś się wdzieramy, stajemy się komuś wszechpotężnemu równymi, kto jest sprawiedliwością i miłosierdziem“.

O tęsknocie Żeromskiego do jasnej, Chrystusowej świętości świadczą słowa Czarowica, bohatera „Róży“, gdy zachwyca się nad watykańskim tryptykiem Rafaela, gdzie św. Piotr zstępuje z więzienia w towarzystwie anioła. Żeromski pyta się, czy Polska wyjdzie kiedy „ze swego więzienia w towarzystwie swego anioła, żeby zstąpić do niezmienionych, Boskich prac?“. To jasne — twierdzi prelegent — Polska, pierwszy zagon Królestwa Boga na ziemi, to najistotniejsze podglebie duszy Stefana Żeromskiego.

Dramat Żeromskiego w dziedzinie religii polegał na tym, że „znając szczyty religijne nie mógł ten pisarz przyswoić sobie nieodzownej i szacownej powszedniości chrześcijańskiej, zarówno w dziedzinie karności moralnej, jak konsekwentnej praktyki codziennej“. Jego głęboko przepojony miłością stosunek do dziecka, tragiczne ukochanie niedoli ludzkiej w „Ludziach bezdomnych“, głębokie uczucie rodzicielskie w „Róży“ wskazuje rdzeń istot-

„I z tego — kończy prelegent — *wynika, że dążenia katolickie w twórczości Żeromskiego górują nad innymi wartością artystyczną i moralną“.*

http://rcin.org.pl

Prof. KAZIMIERZ HARTLEB

Zakład Narodowy im. Ossolińskich

we Lwowie

Wielkoduszny, a tak wszystko wnikliwie przewidujący fundator Zakładu narodowego nie pominął w planie organizacyjnym instytucji, przez się tworzonej, także i strony wydawniczej. Stąd też rzadko która fundacja może się pochlubić tak długą i dawną tradycją w tym specjalnym zakresie.

Józef Maksymilian Ossoliński w pierwszym już zarysie i ustanowieniu z r. 1809, później w ostatecznym postanowieniu r. 1816 nałożył wyraźny obowiązek na spadkobierców, a zarazem wykonawców testamentu założenie drukarni i litografii. Miała ona drukować prace urzędników zakładowych, nadto inne wydawnictwa, z których dochód miał służyć utrzymaniu działu właściwego fundacji — naukowego. Pierwszym wydawnictwem staraniem i nakładem instytutu było **„Czasopismo naukowe księgozbioru publicznego im. Ossolińskich“**. Ukazywało się ono z małymi przerwami w latach 1828—1848 pod kierunkiem pierwszych swych dyrektorów, t. j. Siarczyńskiego, Słotwińskiego i Kłodzińskiego. Najbardziej pobieżny tylko przegląd wykaże nam, ile materiału naukowego i źródłowego zawarło rzeczone wydawnictwo, jaką rolę odegrało w ówczesnym nad wyraz smutnym okresie naukowym, literackim i kulturalnym.

Taki znakomity początek musiał prowadzić dalszą zbożnej pracy kontynuację, która przypadła w udziale następnemu z kolei dyrektorowi Augustowi Bielowskiemu. Samo nazwisko już tak bardzo wiele mówi o sobie i za siebie. Potrzeby nauki współczesnej wyczuwał on jak nikt inny. Wiedział doskonale, uświadamiał innych, iż rozpocząć należy od podstawowych wydawnictw źródłowych. Takimi były i pozostaną na lata długie **„Monumenta Poloniae historica“**, których tom pierwszy ukazał się w r. 1864. A już uprzednio trudem jego, współpracą innej znakomitości na polu historiograficznym — Karola Szajnochy ukazało się nowe wydanie pomnikowego znowuż po dzień dzisiejszy Lindego „Słownika języka polskiego“ (w latach 1854—1861). W r. 1862 wznowił Bielowski wydawnictwo **„Biblioteki Ossolińskich“**, której poczet 12 tomów daje znowuż znakomity materiał naukowy i pod względem różnolitości treści z zakresu historycznego i literackiego, jak i wysokiego poziomu naukowego.

Przełomowymi w dziejach Zakładu były lata rządów Wojciecha Kętrzyńskiego (1876—1918). Praca wydawnicza działu naukowego szła już urobionym szlakiem. Możemy podnieść takie wybitne pozycje, jak Kętrzyńskiego: „Nazwy miejscowe polskie Prus zachodnich, wschodnich i Pomorza wraz z przezwiskami niemieckimi“, „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś Krzyżackich“, wydawane, jako odrębne publikacje; najważniejsza z nich to „Katalog rękopisów Biblioteki Ossolińskich“, obejmujący w trzech tomach opis z górą 1.500 rękopisów — tego samego autora. Nadto roczne Sprawozdania Zakładowe pomieściły prace tak dobrze zasłużonych współpracowników zakładowych, jak: Kanteckiego, Hirschberga, Bełzy, Bruchnalskiego, Czarnika, Pappego, Gubrynowicza i wielu innych.

A obok tego rozpoczął się wielki ruch wydawniczy w zakresie podręcznikowym. Na mocy przywileju, udzielonego przez rząd austriacki w r. 1879, Zakład otrzymał wyłączne prawo wydawania i drukowania polskich książek dla szkół ludowych. Tą drogą zdobyte fundusze miały zaspokoić potrzeby naukowe instytucji, które zresztą wzrastały ustawicznie niemal równolegle z potęgowaniem się miłości i poważania, jakim cieszyła się już obecnie ukochana instytucja narodowa. Boć przecie w jej murach od samego zarania przepływał silny i najbardziej głęboki nurt życia narodowego. Początkowo ogniskowała świat naukowy i literacki, później dostarczała przystani przybyszom, którzy tamte musieli opuścić zabory. W czasie walki wolnościowej, treść i praca do podziemi schodziła, by tam urządzać tajne współrodaków namowy i zebrania, dzielić się wiadomościami, przywiezionymi z szerokiego świata, zwłaszcza wielkiej emigracji. Drukarnia zakładowa znowuż dostarczała tajnych odezw, zakazanych broszur, konfiskowanych rycin.

Podobnie zareagował Zakład narodowy w okresie „wiosny ludów“, kiedy znowu ściągał w swe podwoje licznych uczestników narad i konferencji. Przestronnych swych podwórzy udzielał gwardii narodowej na ćwiczenia. Słowem nie było głośniejszego wypadku, wyczynu narodowego, czy tylko nawet zamierzenia, któreby nie wiązało się najściślej z tak już szacownymi murami Ossolineum.

Rzecz naturalna, kiedy zrodzi się pierwszy projekt Towarzystwa naukowego z inicjatywy Wincentego Pola, Batowskiego i innych, to jego zebrania odbywać się będą w **„Instytucie Ossolińskiego“**.

I takich przykładów moglibyśmy przytaczać znacznie więcej. W ten sposób gromadził się ten bogaty kapitał narodowej myśli, pracy i sumienia, który mógł już dostarczyć strawy zdrowej idącym po sobie pokoleniom, co więcej — zdobyć zaufanie nawet władzy zaborczej.

Co dziesięć lat stale przedłużano wspomniany przywilej wydawniczy.

W okresie polskim

Taki stan rzeczy trwał do r. 1918, do czasów własnej państwowości. W okresie minionym, jak to przykładowo jeno mogliśmy stwierdzić, dzieje i koleje zakładu narodowego były częścią składową, wykładnikiem, czasem odzwierciedleniem losów miasta, kraju całego. Coraz to nowe występują cele i zadania przed rozwijającą się instytucją. W okresie np. wojny światowej Ossolineum użycza znowu opieki i schronu prywatnym bibliotekom, zbiorom. Niektóre z nich już na stałe pozostały w gościnnych murach.

W okresie polskim musiała nastąpić gruntowna reorganizacja, zwłaszcza w dziale wydawniczym. Skończył się dawny przywilej, bezsprzecznie źródło dochodowe przez ostatnie lat dziesiątki. Nadto tak bardzo rozszerzyły się kręgi, poczucie i znamiona własnej narodowości. A przecież zakład po myśli twórcy nosił zawsze miano „Zakład Narodowy“. Takim był w okresie niewoli, takim musiał pozostać w dobie szczęsnej już doli.

Odnawia więc dawną tradycję wydawniczą w zakresie podręczników, przy czym dwa zasadnicze mu przyświecają cele: przysporzenie koniecznych dochodów dla prowadzenia i rozwijania działu naukowego, t. j. biblioteki i muzeum.

W dalszym ciągu postawienie całej produkcji wydawniczej na odpowiednio wysokim poziomie pod każdym względem. A biegnie ona kilku równorzędnymi torami: W pierwszym więc rzędzie idą czołowi reprezentanci twórczości rodzimej. Wielotomowe wydawnictwa obu laureatów nagrody Nobla: Sienkiewicza i Reymonta. Pierwszy w szeregu wydań aż do najbardziej popularnych (ostatnio w 40 tomikach) szedł we wszystkie narodu sfery. Obaj pisarze w układzie prof. Ignacego Chrzanowskiego. „Dzieła“ Słowackiego w najbardziej krytycznym wydaniu Juliusza Kleinera, podobnie Fredro w układzie i opracowaniu Eugeniusza Kucharskiego. Utwory współczesnych pisarzy reprezentują: Kaden-Bandrowski, Ossendowski, Wasylewski, Dunin-Kozicka.

A obok opracowania naukowo-syntetyczne! By wymienić: Kleinera monografie o Słowackim i Mickiewiczu, Kallenbacha o Mickiewiczu, Brücknera o literaturze rosyjskiej, Chlebowskiego o literaturze porozbiorowej, Łosia historyczna gramatyka polska. Godnie im towarzyszą studia i opracowania: Borowego, Chrzanowskiego, Krzyżanowskiego, Pigonia, Ujejskiego i Wojciechowskiego.

Dział historyczny reprezentują następujące pozycje (zresztą znowu tylko dla przykładu podane) Korzona: Historia wojen, Kubali: Ossoliński, Ks. J. Umińskiego dwutomowe: Dzieje kościoła (pierwsze w polskiej literaturze — na wyczerpaniu), Zakrzewskiego: Bolesław Chrobry i dwa tomy zagadnień historycznych, Inglota St.: Dzieje gospodarcze, kapitalne wydawnictwo Ptaśnika: Monumenta Poloniae typographica.

Z dziejów sztuki wymienić znowuż się godzi: pierwszą oryginalną w języku polskim Historię sztuki, w opracowaniu Gąsiorowskiego, Gębarowicza, Szydłowskiego, Tatarkiewicza, Żarnowskiego i Żurowskiego, wspaniałe wydawnictwo „Galeria Stanisława Augusta“ w opracowaniu Tadeusza Mańkowskiego, Rysunki Dürera — Gęborowicza i Tietzego. Ostatnio powstał kwartalnik p. t. Dawna sztuka, coraz większym cieszący się uznaniem.

W dziedzinę kulturalno-obyczajową wkraczają tak poczytne książki Kazimierza Chłędowskiego, a więc: Królowa Bona, Siena, Ferrara, Rzym, Historie Neapolitańskie, Ostatni Waleziusze, Z przeszłości naszej i obcej.

Osobny dział wydawniczy stanowi „Biblioteka Narodowa“ przejęta z Krakowskiej Spółki Wydawniczej. Jej zadaniem popularyzowanie arcydzieł polskich i obcych z wstępami i komentarzami najwybitniejszych specjalistów. Do tej pory ukazało się 123 tomików serii I (polskiej) i 56-serii II (obcej) — dalsze w przygotowaniu.

Gdybyśmy chcieli ująć publikacje wszystkich wspomnianych dziedzin (przecież dołączyć jeszcze należy i filozofię, więc np. Historia filozofii w dwu tomach — Wł. Tatarkiewicza, Psychologia dwutomowa Wł. Witwickiego, nadto prace: Ingardena, Kotarbińskiego lub przyrodnicze: Grotowskiego M., Weila St. i t. d.) w cyfrę bardziej ścisłą, to otrzymalibyśmy ponad 400 pozycji. Ta cyfra mówi już bardzo wiele, zwłaszcza, iż, jako komentarz, służyć może wybór już uprzednio podany.

Nie zaniedbano literatury podręcznikowej, tym więcej, iż było to nawróceniem do dawnej tradycji, jeno w zmienionych warunkach, gdzie należało dostosować się do nowych wymogów samych czasów, związanych z tym postępem, a dalej do obowiązujących programów szkolnych różnych kategorii. W tym zakresie wydano ponad 200 podręczników. Na czym polegają ich walory, owe nowe znamiona, czy cechy? Na całość podręcznika składa się przecież skoordynowanie całego szeregu czynników. Umiejętna metoda w rękach doskonałego fachowca, strona ilustracyjna nie szablonowa, lecz wręcz oryginalna. Ileż to razy wobec takich postulatów należało wkraczać na drogi zgoła nowe, oryginalne w doborze samego materiału, współpracy autorów nowych, w uwzględnieniu całej strony graficznej. Czytanki Maykowskiego i Balickiego były taką próbą, za tym szły inne, by tylko rzucić kilka nazwisk: Chałubińska, Janiszewski, Dziurzyński, Auerbach, Dąbrowski i bardzo wielu innych.

Wydawnictwo zrozumiało swą rolę w znaczeniu szerszym, aniżeli się zwykło przyjmować jego zakres. Nie ograniczyło się jeno do wydania, chociażby najbardziej wzorowego, czy doskonałego, lecz pomyślało również o rozpowszechnianiu swych wydawnictw. Niechaj dobra polska książka dojdzie do najszerszych warstw — przede wszystkim młodzieży niezamożnej, kresowej. W tym względzie, mając ciągle na pamięci wielkoduszne intencje swego założyciela i późniejszych kuratorów, zdobyło się na gest naprawdę wielkopański. W r. 1936 zaofiarowało do rozdawnictwa 45 tysięcy własnych wydawnictw, które przedstawiały wartość ponad 77 tysięcy. W roku następnym przeznaczyło do rozdawnictwa książek za kwotę 13 tysięcy. Nadto pragnąc pospieszyć z bezpośrednią pomocą materialną niezamożnej młodzieży, ufundowało 45 stypendiów dla młodzieży szkół powszechnych, średnich i handlowych — każde po 200 zł. Mają one być rozdzielone pomiędzy 9 kuratoriów, czyli zasięgiem swym objąć obszar całej Rzeczypospolitej. Nadto przyznano stypendia dla młodzieży liceów pedagogicznych. Jeżeli do tej kwoty dołączymy subwencje już ściśle naukowe, to otrzymamy sumę globalną zł 29.398.87 na cele kulturalno-narodowe.

Powyższe zestawienia dają chyba bardzo wiele. Wymowa cyfr w tym względzie silniejszych dostarczy argumentów, aniżeli najbardziej pięknie brzmiące słowa czy opisy. Prawdę rzeczywistą zawarły niedawno słyszane słowa o roli przeszłej i obecnej Zakładu Narodowego: **„Służy wiernie nauce, krzewi świadomość i oświatę polską, umiłowanie przeszłości, wiarę nieci w niezniszczalność Ojczyzny, czyniąc każdy krok swój w imię hasła: „dla ciebie Ojczyzno — dla Ciebie Polsko“.**

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie

W czwartym kwartale (październik — grudzień 1938 r.) na rzecz **działu rękopisów Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie** siedmiu ofiarodawców złożyło dary następujące: **Bakinowski Stefan** — po ś. p. Wacławie Dziewulskim, **Hoppen Antoni** (autograf „Wycieczek po Litwie“ Władysława Syrokomli, wydanych w roku 1857), **Karpowicz Zygmunt** (odezwy, ulotki, programy z lat 1905—1918) po ś. p. Wacławie Kościałkowskim (akta dotyczące powstania pułku suwalskiego 41 p. p.), **ks. Tyczkowski Franciszek**, po ś. p. Henryku Wojnickim i **ks. Władysław Tołłoczko**.

W okresie sprawozdawczym do **zbiorów muzealnych** T. P. N. pięciu ofiarodawców złożyło 40 przedmiotów. Ofiarodawcami byli: **hr. Elwira O'Rourke, Aleksander Trypućko, Wacław Wejtko i urząd wojewódzki wileński.**

W tymże czasie **książnica T. P. N.** wzbogaciła się o 579 dzieł w 707 tomach, z czego 14-stu ofiarodawców złożyło 470 tomów książek oraz większą ilość czasopism, 81 instytucyj zaś nadesłało w darze lub na wymianę 175 tomów, ponadto szereg periodyków, map i nut.

Najobfitsze dary złożyli lub nadesłali: **ks. Franciszek Tyczkowski** 178 tomów, **pp. Zygmunt Karpowicz** — 144, **Jan Piłsudski** — 73, po ś. p. Wacławie Dziewulskim — 58, **Drukarnia „Pax“** — 59, **Główny Urząd Statystyczny** — 17, **Fundusz Kultury Narodowej** — 13, **Biblioteka Uniwersytecka w Wilnie** — 12, **Biblioteka Polska w Paryżu** — 10 itd.

W okresie sprawozdawczym ukazała się praca **dr Leonida Zytkowicza** p. t. „Rządy Repnina na Litwie w latach 1794—7“, jako tom dziesiąty rozpraw wydziału trzeciego T. P. N.

http://rcin.org.pl

Dr JAN PIĄTEK

O reklamę książek

Na marginesie artykułu Wacława Grubińskiego „W świecie wydawniczym"

Pisarz i wydawca związani są wspólną troską o dobro książki. Porozumienie i zgoda między nimi jest kardynalnym warunkiem pomyślnego rozwoju piśmiennictwa. Prawda ta została już dzisiaj powszechnie uznana. Że zaś zgoda może istnieć tylko między osobami, które wzajemnie się znają i rozumieją, koniecznym jest, by wydawcy wczuli się w warunki tworzenia pisarzy, autorzy zaś, by poznali warunki pracy wydawniczej. Ze zrozumienia tej potrzeby powstało w ostatnich latach szereg podręczników o księgarstwie wydawniczym, pisanych z myślą o pisarzach, w celu umożliwienia im poznania pracy wydawcy. Pierwszą i dotychczas najlepszą tego rodzaju pracą jest **„Prawda o wydawaniu książek"** (The truth about publishing) **Stanleya Umwina**, współwłaściciela znanej angielskiej firmy, **Allen and Unwin**. Praca Unwina została przetłómaczona na język francuski, niemiecki (mimo kilkudziesięciu kapitalnych dzieł z tej dziedziny!), szwedzki a ostatnio także na język czeski. W Polsce nie ma w tej dziedzinie **ani jednej pracy** nie tylko takiej, któraby była pisana dla autorów, ale **nie ma żadnego najskromniejszego podręcznika dla młodych adeptów tego zawodu.** Prace wspaniałe na swoje czasy, **znanego księgarza Paprockiego** jest zupełnie wyczerpana, a nowe generacje księgarzy i wydawców nawet nie pamiętą, że takie wydawnictwo kiedyś istniało.

W tych warunkach każdy artykuł, naświetlający pracę wydawcy, jest bardzo pożyteczny. Korzystam więc z gościnności „Obrony Kultury", by nawiązując do artykułu **Wacława Grubińskiego „W świecie wydawniczym"** dorzucić do niego uwagi wydawcy.

Reklama jest dźwignią handlu. Reklamie zawdzięcza niejeden magnat finansowy swoje stanowisko, niejedno przedsiębiorstwo swój rozwój, ale też niejeden przemysłowiec przereklamowaniu swój upadek. Bo reklama, jak każda rzecz, ma granice swej skuteczności.

Do wielkiej reklamy nadają się przedmioty o małym ryzyku i wielkiej marży zarobkowej.

Jeśli fabrykant pasty do zębów przedsięweźmie wielką kampanię propagandową, to on wie, że: 1) jego pasta spełnia swój cel i każdego można o tym przekonać; 2) że wszyscy ludzie mają zęby, które mogą być tą pastą czyszczone; 3) że jak się ktoś przyzwyczai do pewnej pasty, to będzie jej przez dłuższy czas używał, i że wskutek tego zakupi nie tylko jedną tubkę, ale cały ich szereg.

Otóż żaden z tych warunków nie ma zastosowania do książki, bo: 1) wydawca nigdy nie wie, czy książka przez niego wydana „chwyci".Między głosem twórcy a jego oddźwiękiem w duszy czytelnika znajduje się tyle rzeczy nieznanych i usuwających się z pod wszelkich reguł logicznego myślenia, że wydawca nigdy nie może powiedzieć, czy jego książka jest towarem dobrym dla jego publiczności względnie dla której warstwy. Jeśli towar jest „zły" — to znaczy nie zły sam w sobie, ale jeśli nie odpowiada psychice i nastrojom czytelnika, żadna choćby największa reklama nie potrafi nakłonić czytelnika do jego kupna i przeczytania. Mówi się: dobry wydawca musi mieć „nosa", a to wskazuje, jak wielką rolę odgrywają pierwiastki irracjonalne w jego pracy. 2) Jeżeli już wydawca trafi na właściwego konsumenta swej książki, to ten nigdy nie kupi więcej jak jeden jej egzemplarz, o ile wogóle nie zaspokoi swoją potrzebę w wypożyczalni. Reklama książki nie wywołuje więc ciągłej kasowości u jednego odbiorcy, a nie zakupu dziesiątek, setek i tysięcy egzemplarzy danego przedmiotu, lecz z natury rzeczy tylko kupno jednego egzemplarza lub jakiegoś ułamka egzemplarza, jeśli konsument książki zaspakaja swoje zapotrzebowanie w wypożyczalni książek. Jakie więc małe są widoki zarobkowe wydawcy w stosunku do wielkiego wkładu, jakiego reklama wymaga!.

Naświetlijmy tę sprawę przykładowo: Drukujemy powieść w normalnym nakładzie 2000 egz. i po zł 8 za egzemplarz. — Gdybyśmy na reklamę przeznaczyli dość wysoką sumę, bo 5% od ceny książki, otrzymamy złotych 800.— na całą reklamę, obejmującą ogłoszenia, katalogi, prospekty, ulotki, adresy, egz. recenzyjne i ich rozsyłka, koperty, adresowanie itp. Cóż można za tę kwotę zrobić, jeśli ogłoszenie w jednym dzienniku w rozmiarach około 80 × 100 mm kosztuje od zł 100 — 300. Wobec tak nikłych kwot, jakimy wydawcy dysponują na cele propagandy, nawet zaproszenie wydawców czasopism, pomieszczone w „Prasie" Nr 1. R. X, str. 14, do podjęcia rozmów na temat ulgowych cen ogłoszenia prasowego, także nie może zmienić sytuacji, — gdyż wydawców nie stać wogóle na propagandę prasową[1]).

Opinię tę podziela w całości księgarstwo niemieckie. W podręczniku dla młodych adeptów zawodu wydawniczego **„Der Verlagslehrling"** pisze **Uhlig Thilo:** „Kalkulacja normalnego wydania poszczególnych książek nie wytrzymuje znaczniejszych wydatków na ogłoszenie w obcych czasopismach i dziennikach". A stary doświadczony wydawca **Adolf Sperman** pisze w swoich wspomnieniach, zatytułowanych **„Berufsgeheimnisse und Binsenwahrheiten"** (tajemnice zawodowe i oklepane prawdy): „Twierdzimy, że księgarstwo runuje się przez propagandę. Zapewne, niejeden nakład zostanie przez to podwyższony, lecz w końcu cała nadwyżka dochodu zostaje skonsumowana przez wydatki reklamowe a często zamieniona w stratę. Wielka kampania reklamowa na rzecz jednej książki lub jednego autora nie opłaca się nigdy".

Inaczej się rzecz ma we Francji, na co słusznie powołuje się p. Grubiński. Wydawcy francuscy dają stosunkowo dużo ogłoszeń, ale procentowo wydatki ich, przeznaczone na propagandę, nie wiele odbiegają od naszych, jednak z powodu wielkich nakładów ich książki różnica sum jest olbrzymia i to pozwala francuskim wydawcom na przebolenie strat na reklamie wydawnictw, o których poprzednio mówiłem, a którym czasem mimo ich wielkiej wartości, żadna reklama nie pomoże. Gdym na ten temat rozmawiał z wydawcami francuskimi i podałem im wysokość nakładu naszych książek, odrazu odpowiedzieli: Ależ w takim razie nie można skalkulować kosztów reklamy. I tak jest w istocie.

Gdyby podniesienie czytelnictwa zależało tylko od reklamy, wydawcy niewątpliwie sprawa ta byłaby dawno załatwiona. Pamiętamy bowiem, jak przed paru laty jeden z wydawców z iście amerykańskim rozmachem, umiejętnością i konsekwencją przeprowadzał szereg kampanii reklamowych dla swych wydawnictw — bez skutku. Reklama książki może przyjść dopiero na grunt przygotowany przez szkołę i oświatę, ale to już jest inne zagadnienie.

[1]) Wyjątek tworzą tu wydawnictwa wielkie, encyklopedyczne, które ze względu na swą wysoką stosunkowo ocenę, wytrzymują wysokie koszta reklamowe. Wydawnictwa te korzystają także w Polsce obficie z tego środka propagandy.

Kongres Inżynierów Miernictwa

Dnia 12 bm. w auli Politechniki Warszawskiej odbyło się końcowe plenarne posiedzenie naukowe, zamykające I-szy Ogólnopolski Kongres Inżynierów Miernictwa Rzplitej, zwołany celem przedyskutowania najaktualniejszych problemów geodezyjnych i powołania do życia ogólnopolskiego Związku Inżynierów Miernictwa. Trzydniowe obrady zjazdu, który zgromadził ponad 500 uczestników z całego kraju, toczyły się w czterech komisjach. 1) pomiarów państwowych, 2) pomiarów dla celów miejskich, 3) przebudowy ustroju rolnego, 4) organizacji zawodu i szkolnictwa.

W godzinach popołudniowych odbyło się konstytucyjne zebranie nowopowstałego Związku Inżynierów Miernictwa Rzeczypospolitej Polskiej, na którym przyjęto do wiadomości zatwierdzony przez władze państwowe statut, a delegaci oddziałów wojewódzkich dokonali wyboru władz związku. Prezesem Związku został ppłk. inż. Surmacki Władysław.

Budowa pomnika Drzymały w Wolsztynie

Na posiedzeniu komit. wykonawczego uczczenia pamięci Michała Drzymały postanowiono kwotę 8.000 zł, oddaną przez starostwo krajowe do dyspozycji komitetu wojewódzkiego, przekazać komitetowi wolsztyńskiemu na budowę pomnika wielkiego Polaka w Podgradowicach. Cztery projekty pomnika, złożone przez art. rzeźbiarza Rożka, przekazano do podkomisji artystów, która jeden z nich wybierze, celem realizacji. Budowa pomnika rozpoczęta będzie wczesną wiosną, a odsłonięcie jego przewidziane jest w jesieni.

Z miejskiej biblioteki publicznej w Gdyni

Stan księgozbioru i czytelnictwa miejskiej biblioteki publicznej w Gdyni za rok 1938 przedstawiał się następująco: Biblioteka posiada 16.760 tomów treści naukowej, popularno-naukowej i beletrystycznej. Obszerny dział stanowią książki dla dzieci i młodzieży. Z dziedziny naukowej najliczniejsze są dzieła z zakresu nauk społecznych i prawnych, historii, literatury, filozofii i pedagogiki. W r. 1938 zakupiono 1.164 tomy za sumę około 4.000, cztery tys. zł. W ub. roku wzmogło się bardzo nasilenie czytelnictwa i obecnie bilioteka posiada 960 stałych czytelników. W ciągu roku wypożyczono 41.874 tomy. Przy bilioteće czynna jest czytelnia czasopism, którą w r. ub. odwiedziło ogółem 10.865 osób. Propagowaniem czytelnictwa na peryferiach miasta zajmuje się biblioteka za pośrednictwem t. zw. biblioteczek ruchomych. Komplety takich biblioteczek po 50 tomów każdy rozmieszczane są w różnych punktach miasta, gdzie wypożyczane są bezpłatnie najbiedniejszym warstwom. Obecnie czynnych biblioteczek jest 18. Wykorzystanie książek z biblioteczek ruchomych w ub. roku było bardzo duże.

GUSTAW OLECHOWSKI

Z rytmem życia

Z tym rytmem życia jest dziś wielki kłopot. Bo rytm może mieć różne tempo. Polacy tańczą walca w tym samym, oczywiście, rytmie, co wiedeńczycy, ale w tempie znacznie przyspieszonym. Anglicy znów utrzymując ten sam rytm, tańczą walca w tempie marsza pogrzebowego. Może mają więcej czasu, może mniej temperamentu. Ale faktem jest, że walca można tańczyć w różnym tempie.

Koń tak samo przebiera nogami w tak zwanym "kurz-galopie", jak w „en carière" wyścigowym. Ale wynik jest inny. W wyścigu spieszy mu się.

Tragedią jest, gdy koń okuleje. Możeby na trzech nogach pokuśtykał krótkiego galopka, ale do wyścigu nie stanie.

W życiu społecznym przychodzą jednak takie momenty, gdy albo wyścig będzie, albo lepiej pójść odrazu na trawkę. Marszałek Piłsudski często mawiał o tym wyścigu. Myślał o wyścigu pracy.

Trzeba przyznać, że nie tylko nie mylił się, iż ten wyścig jest w Polsce współczesnej sprawą nagłą i nieodzowną, ale wyczuwał nadto, że rzuca on ziarno słowa na glebę dobrą, przygotowaną. Gdy się dobrze obejrzymy naokoło, przyznać musimy, że w społeczeństwie, jest duży zapał do pracy i to na wszystkich odcinkach. Nikt się już dziś w Polsce pracy nie wstydzi, a zasada, że praca uszlachetnia, przeszła z wypisów szkolnych w życie i miliony ludzi wypatrują okazji pracy, jak kania deszczu. Ludzie, którzy kiedyś zadowalali się paroma godzinami zajęcia na dzień, pracują dziś po kilkanaście godzin i również są bardzo zadowoleni. Pracują mężatki, których mężowie zarabiają, czasem wcale nie źle. Dawniej nie wpadłyby nawet na taki pomysł. Zmieniło się zupełnie ustosunkowanie człowieka do pracy. Z przekleństwa ludzkości praca stała się naturalną funkcją, niemal „radosną twórczością".

I tu zaczyna się tragedia. Obserwujemy rzecz bardzo dziwną. Bo właśnie wtedy, gdy praca stała się radością życia i dla wielu niedościgłym ideałem, nastąpiły dwie katastrofy. Pierwsza polega na tym znanym już zjawisku, że wiele, zbyt wiele ludzi nie znajduje w ogóle pracy, a druga na tym, że tempo tej pracy jest jakby odwrotnie proporcjonalne do zapotrzebowania na owoce tej pracy.

Nie mam wrażenia, bym wychodził z ram moich uprawnień felietonisty, gdy potrącę o politykę. Polityka też ma swoją kulturę, albo jej nie ma. W tych dniach uwaga całego społeczeństwa zajęta jest debatami w Sejmowej Komisji Budżetowej. Przesuwają się kolejno najrozmaitsze działy naszego życia państwowego: obrona, oświata, higiena, oddłużenie wsi, inwestycje, melioracje, wynagrodzenie urzędników. Wszędzie niezmierna lista potrzeb, gwałtownych potrzeb, natychmiastowych potrzeb, palących nieodwołalnych, a kończy się na tym, że odnośny minister powiada: „nie mam pieniędzy".

I Minister Skarbu także powiedział: „nie mam pieniędzy. Mam tego trochę, ale nie więcej".

I co będzie z wyścigiem pracy? Co będzie z tym szalonym tempem, do którego wzdychają wyścigowcy?

Rytmu się jeszcze trzymamy, ale w tempie angielskiego walca. Co to będzie!

Czy już na zawsze skazani jesteśmy na to, że wyścig pracy pozostanie niewykonalnym testamentem? Czy to chocholowe tempo ma już pozostać przekleństwem wszystkich pokoleń? Czy brak pieniędzy jest czymś takim, jak brak czwartej nogi u konia? Jeżeli tak, to jesteśmy beznadziejnymi kalekami.

Nie staniemy nigdy do wyścigu.

Wzdrygamy się na taką myśl. Czy nie jest to jakieś szalone nieporozumienie! Może nam jest potrzebna jakaś kunsztowna proteza! Może nowy „cud nad Wisłą" swojego rodzaju!

Tempo, tempo! Królestwo za tempo!

Zacznijmy tak wołać. Może się kto odezwie. Ale przyjmijmy go w takim razie z otwartymi rękoma. Bądźmy przygotowani na każdy zastrzyk, który może spowoduje szybsze tempo.

Tempo musi odpowiadać celowi biegu. Jeżeli nie odpowiada, to nie jest tempem, tylko zatrzymaniem, cofaniem się, śmiercią. I to na wszystkich odcinkach. Naprzód padnie ofiarą kultura.

Więc w imię choćby tylko tej kultury niechże każdy, kto może, ruszy mózgiem i coś powie na temat sposobów wzmożenia tempa naszego wyścigu pracy. Praca stwarza pieniądz, ale i pieniądz przyspiesza tempo pracy. Trzeba to błędne koło rozciąć.

Bo nie mamy zamiaru chyba iść na trawkę.

Dobrze jest czytać sprawozdania sejmowe, ale po nich spać nie można.

Może to i dobrze. Czuwanie winno doprowadzić do wynalazków.

Wiemy już, że Bank Polski usłuchał rad, dawno mu udzielanych przez ludzi, cierpiących na bezsenność, z powodu debat sejmowych i zaczął rozcinać błędne koło.

Czekajmy.

http://rcin.org.pl

Na progu nowej „wielkiej rewolucji"

Pierwsze wici już rzucone.

Otrzymali je wybrani, prawie że wtajemniczeni. A ten „kto je rzucił" z całym spokojem, bez cienia namiętności, niczym pod względem temperamentu rewolucyjnego nie przypomina płomiennych trybunów ludu — Robespierra, Dantona, St. Justa. Co prawda — z zupełnie innego środowiska wyłonił się ten nowy „trybun", ze środowiska, gdzie rewolucje są na porządku dziennym, lecz odgłosy ich nie przedostają się poza mury, śród których wybuchają.

Wici rewolucyjne pochodzą ze słynnej instytucji naukowej — Rockefeller Institute for Medical Research, gdzie w samotności, przez fundatorów odgrodzeni od wszelkich trosk materialnych, w skupieniu i ciszy tacy wielcy uczeni, jak Simon Flexner, J. Loeb, Meltzer, Noguchi, Fryderyk Gates rozwiązują najtrudniejsze zagadnienia biologiczne i dochodzą coraz częściej do rewolucyjnych wyników.

Ten duch rewolucji, wypływający ze zgłębienia żywej istoty z człowiekiem na czele, rewolucji, która staje się tragicznym, **jedynie logicznym** wynikiem zakończonych lub rozwiązujących się badań, wyniósł poza mury fundacji rockefellerowskiej znakomity również uczony, przyrodnik, laureat Nobla, dr Alexis Carrel, myśliciel wnikliwy i filozof, chociaż w przedmowie do swej rewolucyjnej książki „Człowiek — istota nieznana" oświadcza skromnie ale stanowczo:

„Piszący tę książkę nie jest filozofem. Jest tylko i po prostu pracownikiem naukowym. Większą część życia spędził w pracowniach na badaniu istot żyjących. A pozostałą część — na obserwowaniu ludzi w świecie szerokim i na próbach zrozumienia ich... Mógł obserwować prawie wszystkie formy działalności ludzkiej. Poznał wielkich i małych, zdrowych i chorych, uczonych i nieuków, niedorozwiniętych umysłowo, wariatów, przemyślnych zbrodniarzy. Odwiedzał chłopów, proletariuszów, urzędników, aferzystów, sklepikarzy, polityków, żołnierzy, profesorów, wychowawców, księży, arystokratów, mieszczan. Przypadek postawił go na drodze filozofów, artystów, poetów i uczonych. A niekiedy także wobec geniuszów, bohaterów i świętych...

Dr Carrel, pisząc swoją niezmiernie głęboką i w naszych czasach spaczenia pojęć nieodzownie potrzebną książkę, miał właśnie przed oczami całe społeczeństwo od dołu i do góry, a nie tylko specyficznie amerykańskie, standaryzowane i wyprane z istotnego indywidualizmu, gdyż autor przez dłuższy czas przebywał w zgiełkliwym Starym Świecie i znalazł tam te same pobudki do wielkiej rewolucji, jakie rzucały mu się w oczy w ojczystym Mieście Olbrzymie, za murami instytucji naukowej.

Książka Carrela „Człowiek — istota nieznana" jest dziełem rewelacyjnym nie tylko dla laików, ale i dla uczonych specjalistów w dziedzinie biologii, zaskoczonych i wstrząśniętych śmiałością, praktycznym i w pewnych wypadkach bezwzględnym realizmem wniosków autora — człowieka absolutnie niezależnego, nie zamierzającego nikomu się podobać uległością, gibkością i mniej lub więcej zręczną adoptacją swych poglądów naukowych, czego odrażające wzory oglądamy tuż za naszą granicą zachodnią. Zdanie takiego uczonego jest szczególnie cenne, gdyż stanowi jego własne, przemyślane, wyczute, stokrotnie skontrolowane metodami naukowymi, nawskroś niezależne credo i to tak dalece, że staje ono w wyraźnej kolizji z duchem i kierunkiem życia swego kraju, a nawet fundatorów organizacji, która dała mu możność niczym nie skrępowanego wypowiadania najśmielszych myśli, jakie zna wiek XX-ty.

Książka Carrela jest popularna i zarazem nie jest popularna.

Uczeni w przytoczonych przezeń faktach naukowych nie znajdą zapewne nic bez zastrzeżeń nowego, a jednak powiązanie znanych im prawd w jeden logiczny łańcuch celowy i wyciągnięte przez autora wnioski zastanowią uczonych którzy (przyznajmy się do tego otwarcie!) niezmiernie rzadko wprowadzają teoretyczne zdobycze naukowe w krąg zjawisk powszednich. Czynią to zwykle inni, zastosowując wielkie prawdy do rzeczy małych, „mieszczańskich", praktycznych. Przypomnijmy sobie fakt wykrycia nietrującej allotropicznej formy fosforu przez wiedeńskiego profesora Schrettera. Dopiero w kilka lat później pewien student-Węgier Irinyi wykorzystał właściwości tego pierwiastka i, opracowawszy metodę fabrykacji „bezpiecznych" zapałek „szwedzkich", sprzedał ją austriackiemu przemysłowcowi Römerowi.

Albo inny przykład. Francuz Chancel wynalazł „fosgen", uzupełniający badania jego nad chlorem i węglem, a w końcu, po wielu latach niemiecki chemik Lüther gazem tym wytruwał Anglików pod Monsem i Francuzów na Chemin des Dames w dobie wielkiej wojny 1914 — 18 r. i wskazał drogi i sposoby wojny gazowej, czyniąc ją „totalną" i groźną dla całego narodu zaangażowanego w zbrojnym sporze.

Dr Carrel zaś wszystkie swoje własne dociekania oddał ludziom na użytek, wskazawszy nawet, w jakiej dziedzinie i w jakim kierunku mają być zastosowane w życiu wielkich skupisk ludzkich.

Książka jego wymaga umiejętności uważnego czytania i śledzenia przewodniej myśli autora, snującej się poprzez wszystkie osiem rozdziałów. Z prostotą, chociaż naukowo przedstawiony stan wiedzy o człowieku, pozostającym „istotą nieznaną", może być zrozumiały dla szerokich kół czytelniczych, jednakże niezbędny jest dość solidny zapas wiedzy biologicznej, by dojść do wniosków poczynionych przez Carrela.

Autor dowodzi, że gwałtowne przekształcenie przez technikę środowiska, w którym żyjemy, okazało się szkodliwe, ponieważ dokonano gruntownych zmian struktury życiowej bez znajomości natury ludzkiej. Zmiany te były przyjęte tak szybko dlatego jedynie, że zagwarantowały nam „największe wygody i najmniejszy wysiłek, rozkosz szybkości, ciągłe zmiany i komfort, a także chęć uciekania przed samym sobą".

I stała się rzecz zdumiewająca. Człowiek, który właściwie na tej naszej planecie powinienby być miarą wszystkiego, stał się w rzeczywistości istotą obcą w świecie, stworzonym przez siebie samego. Cywilizacja współczesna „nie pasuje do nas". Wyrodniejemy w niej moralnie i umysłowo, ponieważ nie możemy już odróżniać zakazanego od dozwolonego i nie uświadamiamy sobie tego, że nie możemy bezkarnie zmieniać swego środowiska i siebie samych. Nie możemy również bezkarnie tworzyć standartu człowieka, bo zginie sama cywilizacja. „Ludzkość bowiem nie zdobyła niczego wysiłkami tłumu. Idzie naprzód popychana przez namiętność kilku jednostek, przez płomień ich inteligencji, przez ich ideał naukowy, ideał miłosierdzia lub piękna", czego nie posiada człowiek - standart.

Tymczasem współczesność z jej „cywilizacją maszyny" zmienia organizm ludzki. Jesteśmy dumni z naszego postępu, ale zapominamy, że człowiek myśli, kocha, cierpi, podziwia i modli się jednocześnie mózgiem i swymi wszystkimi narządami. Stworzyliśmy sobie, mimo udogodnień materialnych, niezmiernie ciężkie i zawiłe warunki bytu. Żyjemy w atmosferze zmartwień. Zmartwienia naruszają poważnie zdrowie. Przedsiębiorcy, na przykład, niezdolni do walki ze zmartwieniami, z powodu niepowodzeń, umierają młodo. Starzy lekarze kliniczni przypuszczają nawet, że przeciągające się zmartwienia i obawy chroniczne przygotowują warunki do rozwoju raka. „Niestałość życia współczesnego, nieustanny niepokój, brak bezpieczeństwa wytwarza stany świadomości, które pociągają za sobą zaburzenia żołądka, jelit, nerek i pęcherza, jako wyniki niezrównoważeń umysłowych i moralnych. Tymczasem cywilizacja nasza nie zdołała, jak dotąd, stworzyć środowiska odpowiedniego dla naszych czynności umysłowych — stąd wynika mała wartość intelektualna i moralna ludzi nowoczesnych. Zmiany w trybie życia doprowadziły do rozkładu grup rodzinnych i społecznych, obdarzonych indywidualnością i własnymi tradycjami. Kultura więc nie utrzymała się nigdzie:

„Olbrzymie rozpowszechnienie gazet, radia i kina zniwelowało klasy intelektualne społeczeństwa do poziomu najniższego. Radio zwłaszcza niesie wszystkim do domu wulgarność, podobającą się tłumowi".

Carrel stwierdza dalej, że współczesne środowiska społeczne skasowało zmysł moralny, a ci, którzy uznają zasady etyki, są skazani na ubóstwo, poniewierkę i karę. Ideałem, wszystko usprawiedliwiającym, stało się bogactwo i pośród dziwów naszej cywilizacji człowiek zdradza już cechy rozkładu psychicznego i duchowego. Bogaty i bezroboczy pędzą życie jednakowo bezczynnie. Zagadnienie braku pracy stało się zagadnieniem groźnym nie tylko dla ekonomisty i polityka, ale i dla psychologa. Zagadnienie to według Carrela rozwiązane będzie drogą rewolucji moralnej i społecznej. Czy jednak zechce tego ludzkość, która szybko traci własności dziedziczne swych ras, a z nimi razem siłę i odwagę przodków? Może zatraci na zawsze świadomość tego, że dla prawdziwego postępu wcale nie były niezbędne ani olbrzymie fabryki i drapacze chmur, ani wielkie zabójcze miasta, ani specyficzna moralność stanowa, ani mistyka produkcji? Może wyda się jej absurdem myśl, że

„kultura bez komfortu, piękno bez zbytku, maszyna bez niewolnictwa fabrycznego, nauka bez kultu materii pozwoliłyby ludziom rozwijać się nieograniczenie i zachowywać inteligencję, zmysł moralny i męskość?"

Carrel nawołuje kobiety, by nie usiłowały naśladować mężczyzn, gdyż należą one do innej „rasy"; dowodzi, że każdy powinien zajmować swe miejsce naturalne w zależności od swej struktury fizycznej i psychicznej. Stąd już jeden krok do poglądu Nitschego:

„ludy nowoczesne mogą uratować się przez rozwój mocnych, a nie przez ochronę słabych".

Należy więc wytwarzać elitę drogą eugeniki, pojętej w najszerszym tego słowa znaczeniu, a wtedy pojawi się na ziemi główny czynnik postępu — arystokracja biologiczno - dziedziczna. Dla ułatwienia zjawienia się takiej arystokracji należy oczyścić społeczeństwo od ludzi ułomnych, niedorozwiniętych, psychicznie nienormalnych i zbrodniarzy, nie wzdragając się nawet przed zastosowaniem... gazów trujących lub specjalnych zastrzyków.

Wiele miejsca udziela Carrel konieczności zwrócenia istocie ludzkiej, standaryzowanej przez życie nowoczesne, jej osobowości i harmonii czynności fizjologicznych i psychicznych.

Wtedy może uda się przebudować życie i inny stworzyć świat, w przeciwnym zaś razie, gdyby ludzkość nie znalazła w sobie ani sił, ani chęci do wykonania tego przewrotu, zjawią się ludzie mocni, którzy zburzą zabójczą cywilizację materialną i na jej gruzach poczną dźwigać nowy gmach.

Taka jest ta książka Alexis'a Carrela, we wzorowym przekładzie R. Świętochowskiego, starannie wydana przez księgarnię Trzaski, Ewerta i Michalskiego. Książka ta doprowadza czytelników do samego progu wielkiej rewolucji idei, do rewizji wszystkich „prawd" wieku XIX i XX-go, do przyjrzenia się pod mikroskopem wspaniałym zdobyczom techniki, hasłom, teoriom i własnej istocie ludzkiej. Carrel przemawia spokojnie, jak gdyby półgłosem, bez nut namiętnych, ale każde jego słowo — to bezkompromisowy protest, gdyż za nim stoją na niewzruszonych podstawach myśli uczonego, myśli śmielsze, niż wypowiedziane przez Marksa, Lenina i innych światoburców, których teorie i doktryny Carrel nazywa „pseudonaukami".

Feranto.

Higiena psychiczna

Wzmagające się tempo życia, wprowadzające różnego rodzaju zakłócenia psychicznej równowagi, zwróciło i u nas uwagę lekarzy i psychologów na nową dziedzinę wiedzy, a mianowicie higieny psychicznej. Pięć lat temu powstał referat higieny psychicznej w Ministerstwie Opieki Społecznej, następnie Polska Liga Higieny Psychicznej, a wreszcie Instytut Higieny Psychicznej, założony przez Ministerstwo Opieki przy wydatnej pomocy Fundacji Rockefellera. W nim to gromadzą się wszystkie prace, dotyczące zagadnienia higieny psychicznej, przy jego pomocy wychodzą periodyki i coraz to nowe tomiki biblioteki popularno-naukowej, poświęconej temu zagadnieniu, wreszcie cykle odczytów i kursów praktycznych.

Prace Instytutu obejmują również dział porad i profilaktyki. Ciekawy jest fakt, że wśród osób, zgłaszających się po porady, było kilkunastu pacjentów ze świata literackiego i dziennikarskiego. Trzeba bowiem wiedzieć, że jednym z typowych obiawów zaburzeń psychicznych są tzw. „kryzysy duchowe", nękające specjalnie twórców. Nieopanowanie w czas podobnego kryzysu decydują niejednokrotnie o dalszej ich karierze a nawet — twórczości. Jako typową ofiarę takiego kryzysu duchowego wymienić można Rimbauda. Inni wielcy twórcy niejednokrotnie byli ofiarami swoich „nawyków", jak np. Marcel Proust, który nie potrafił napisać dziesięciu słów w braku swego ulubionego papieru, albo Andrzej Strug, nie mogący skomponować żadnego ustępu bez zabazgrywania marginesu. Tym wszystkim, tak malowniczym, ale jakże uciążliwym częstokroć przeszkodom w twórczości literackiej i daleko jeszcze poważniejszym schorzeniem zapobiega w czas stosowana higiena psychiczna. Stanowi ona uzupełnienie tak bardzo rozpowszechnionej w tych czasach higieny fizycznej — jednego z najważniejszych czynników życia powojennej doby.

O tych to zagadnieniach mówiono przed kilku dniami w Instytucie na konferencji prasowej dziennikarzy stołecznych, przedstawiając im równocześnie bilans dotychczasowej działalności Instytutu i jego plany na przyszłość, które obejmą m. in. szereg prac w dziedzinie literackiej i artystycznej.

Obrady geografów polskich w Krakowie

W sali Instytutu Geograficznego U. J. w Krakowie odbył się **drugi zjazd geografów krakowskich**, urządzony w 10-lecie zgonu **prof. Ludomira Sawickiego**, dla uczczenia jego pamięci przez b. uczniów i współpracowników.

W zjeździe wzięli udział przedstawiciele władz, zarządu miasta, Polskiej Akademii Umiejętności, wyższych uczelni z Krakowa i innych miast uniwersyteckich, Wojskowego Instytutu Geograficznego, członkowie różnych towarzystw geograficznych z całego kraju, dalej uczestnicy zjazdu w liczbie ponad 200 osób i młodzież akademicka. Po przemówieniach powitalnych przewodnictwo zebrania objął rektor dr. Antoniewicz. Nader ciekawy odczyt na temat badań geograficzno-fizycznych w okresie 10-lecia od r. 1929—1938 wygłosił asystent Instytutu Geograficznego U. J. dr. Mieczysław Klimaszewski, po czym w westybulu Instytutu Geograficznego odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci prof. Ludomira Sawickiego.

Z kolei odbyło się w sali wykładowej Instytutu posiedzenie naukowe, na którym **dr. J. Szaflarski** wygłosił odczyt na temat: „Kartografia polska w latach 1929—1938".

Tegoż dnia w sali seminarium Instytutu nastąpiło **otwarcie wystawy obrazującej wspaniały dorobek naukowy Instytutu Geograficznego U. J.** w latach 1929—1938.

Drugi dzień obrad wypełniło posiedzenie naukowe w sali wykładowej Instytutu, gdzie wobec licznego audytorium wygłosili referaty: **dr. S. Leszczyński**: „Antropogeografia w Polsce w latach 1929—1938" i **doc. dr. H. Buczek**: „Geografia historyczna w Polsce" w latach 1929—1938".

Na posiedzeniu plenarnym **dr. T. Czort** wygłosił referat na temat: „Problemy dydaktyczne w nauczaniu geografii w Polsce w latach 1929—1938". Dalszą część posiedzenia plenarnego wypełniły sprawozdania komisji uczczenia pamięci prof. Ludomira Sawickiego oraz komisji wniosków naukowych i dydaktycznych.

Po przyjęciu rezolucji przez zjazd i wyborze komitetu wykonawczego zamknięto 2-dniowe obrady zjazdu, dające obraz bogatych prac na przestrzeni ostatniego 10-lecia.

http://rcin.org.pl

„Młodzież sięga po pracę"

Co rok 300.000 nowych ludzi dojrzałych sięga po pracę w Polsce. Nie licząc, oczywiście, wszystkich tych, którzy są bezrobotnymi już przedtym.

Oto jest krzyk książki, wydanej przez Instytut Spraw Społecznych z zasiłku Funduszu Pracy. Jest to praca zbiorowa. Poważny wkład do piśmiennictwa o charakterze monograficzno - publicystycznym, rozpatrujący wielkie zagadnienia kultury człowieka, jako „homo economicus", jako twórcy.

Stosunki demograficzne w Polsce, mimo osłabienia w latach ostatnich, pomimo strasznej śmiertelności dzieci małych, nie są jeszcze złe, dzięki niezwykłej płodności i żywotności Polaków. A wyraz przyrostu ludności jest taki, że na 175 tysięcy miejsc w rolnictwie, opuszczanych corocznie, na skutek choroby, starości czy innych przyczyn — kandyduje 405 tysięcy młodzieży wiejskiej, a po 70 tysięcy stanowisk, zwalnianych poza rolnictwem, a więc w miastach, wyciąga ręce 140 tysięcy dorastającej młodzieży.

I oto mamy dwa zagadnienia. Pierwsze — ekonomiczne, jak zrobić, żeby wszystkiemu temu przyrostowi zapewnić właściwe warsztaty pracy, a także przygotować tę młodzież do pracy fachowej, kompetentnej, a więc zarobkowo mocnej oraz drugie zagadnienie — kulturalne, jak ci ludzie będą żyli, jeżeli staną się zbędni, to znaczy pracy nie znajdą.

Polska jest w tej chwili krajem młodzieży. Gdy w r. 1897 udział młodzieży w wieku do 24 lat wśród ludności zdolnej do pracy wynosił 33.8%, to r. 1928 osiągnął 37.3%. Jest to zjawisko dobre, ale tylko o tyle, o ile potrafimy temu przyrostowi młodzieży dać warunki kulturalne pracy i rozwoju. W razie przeciwnym, przewaga młodzieży, stanie się niebezpieczeństwem przewagi w życiu publicznym niedociągnięć, niedoświadczeń i braku równowagi.

Stopa urodzeń w miastach jest już poważnie zmniejszona, natomiast na wsi pozostaje nadal dość wysoka. Lepsze warunki kulturalne miasta nie wpływają więc na ilość we wzroście ludności, ale wpływają niewątpliwie na jakość dorastającego pokolenia.

52% całej ludności Polski to chłopi, a 20% to ludność robotnicza. Czy wobec tego nie będzie prawdą, że stan kulturalny 72% ludności będzie decydował o stanie kultury w Polsce w ogóle! Tak jest. Ale ten stan jest bardzo niski. Gdy się więc mówi o kulturze polskiej, trzeba zawsze pamiętać, o czym się właściwie mówi: czy o przejawach wysokiej kultury w jakiejś cienkiej warstwie społecznej, czy mówi się o przeciętnym stanie kulturalnym tych 72%. Bo to są dwie dziedziny zupełnie różne. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z przejawami kultury w Polsce, w drugim — raczej z objawami polskiej kultury, bardzo niedostatecznej.

Drobnomieszczaństwo stanowi w Polsce 11%, a pracownicy umysłowi — 5% ludności. Już poziom kultury wśród drobnego mieszczaństwa powoduje wiele do życzenia. **Pozostaje warstewka 5%. Ale czy i ta jest pełnowartościowa w sensie kultury? I czy ma na to, by posuwać się naprzód w tej dziedzinie?** Statystyka powiada, że tylko 2% zaliczyć można do ludności tak zwanej w naszych stosunkach — zamożnej, czyli takiej, która ma na to, by „uprawiać kulturę" i przyczyniać się do jej upowszechnienia. O ile, oczywiście, zechce. Jakiż jest procent mogących i chcących — razem?

Obszar Polski przedstawia ogromną skalę rozpiętości stosunków społecznych i kulturalnych — od zbliżonego do poziomu zachodnio - europejskiego Śląska aż do prymitywnej, niemal średniowiecznej struktury niektórych województw wschodnich. Ale Śląsk to tylko 14% ludności Polski. Jakże my więc wyglądamy! Ponure zapytanie.

Ludność chłopska dostarcza krajowi przeszło 68% młodzieży. Wiemy, że młodzież ta liczyć może najwyżej na dwuklasową szkołę powszechną, ale przeważnie jednokklasową. Jakiż będzie stan kulturalny tej olbrzymiej większości polskiego corocznego „narybku"?

Ta młodzież, wobec braku zajęcia w gospodarstwach wiejskich, będzie emigrowała do miast. To dobrze. Ale z jakim przyg towaniem? Czy wystarczającym do zawoo w miejskich, w których ma ona stopniowo rugować żywioły niepolskie.

I znów nieubłagana statystyka, zebrana i oświetlona w tym cennym dziele Instytutu Społecznego, ujawnia nam, **że zaledwie 9% młodzieży z całej masy opuszczającej w ogóle jakiekolwiek szkoły w typie powszechnym, kończy szkoły wyższego typu i szkoły zawodowe. Widzimy więc, że podkład dla kultury i dla życia twórczego tej ıłodzieży jest słaby, bardzo słaby.**

Stan umysłowy, bliski analfabetyzmu, bezrobotność, w najlepszym razie bardzo ubogie przygotowanie fachowe, czyli brak kwalifikacji — oto typ młodego człowieka w liczbie 300.000, sięgającego rokrocznie po pracę. Uto znów ciemny obraz rzeczywistości.

go

Zjazd pisarzy polskich na Zaolziu

Zjazd pisarzy polskich w Cieszynie odbędzie się w dniach 4 — 6 marca rb.

Program zjazdu przewiduje uroczyste otwarcie w gmachu Ratusza w Cieszynie Zachodnim z udziałem przedstawicieli władz. W czasie inauguracji reprezentanci życia kulturalnego i gospodarczego Zaolzia wygłoszą dla uczestników Zjazdu referaty informacyjne, poczym nastąpi część artystyczno-literacka. Wieczorne zebranie towarzyskie da sposobność osobistego zetknięcia się pisarzy ze społeczeństwem zaolziańskim.

Nazajutrz pisarze rozjadą się, aby w sześciu miejscowościach zaolziańskich: Jabłonkowie, Trzyńcu, Karwinie, Orłowej, Frysztacie i Boguminie wygłosić przemówienia okolicznościowe i wystąpić z recytacjami swych utworów. Zjazd zakończony będzie w poniedziałek, 6 marca, po południu w Katowicach.

Polskie życie kulturalne za granicą

Literatura i sztuka polska w Jugosławii. W XXIV tomie „Nauki Polskiej" znajdujemy ciekawie opracowaną kronikę poloniców w Jugosławii. Przekładane są głównie dzieła literatury współczesnej albo przynajmniej nowszej; ze starszych pisarzy jest w Jugosławii zawsze żywy Henryk Sienkiewicz. Przekłady ukazują się we wszystkich trzech głównych ośrodkach kulturalnych Jugosławii: w Białogrodzie, Zagrzebiu i Lublanie, z rzadka w inych miastach. W Białogrodzie książki drukowane są cyrylicą, a w Lublanie — po słoweńsku. Kilka słoweńskich tłumaczeń wyszło w Gorycji i w Trieście (Italia). Od roku 1918 byli tłumaczeni nastepujący autorzy polscy: Mickiewicz, Słowacki, Kraszewski, Bałucki, Sienkiewicz, Prus, Dygasiński, Gomulicki, Nieźwiedzki, Niemojewski, Orzeszkowa, Konopnicka, Gliński, Daniłowski, Rodziewiczówna, Ostoja (J. Sawicka), Żeromski, Reymont, Sewer, Przybyszewski, Wyspiański, Tetmajer, Kasprowicz, Staff, Strug, Perzyński, Makuszyński, Choynowski. Kiedrzyński, Ligocki, Ossendowski, Kaden-Bandrowski, Nałkowska, Kossak-Szczucka, Słonimski, Goetel, B. Czernada, Morcinek, Dąbrowska, Wasylewski, Wierzyński, Iwaszkiewicz, Boguszewska, Ledóchowska, M. T., Rozmaitowski B. W Białogrodzie gotowy jest nowy przekład „Chłopów" pióra J. Zivanovicza i W. Popovicza. Prócz tego wyszły cztery książki zbiorowe przekładów autorów polskich. Co do liczby przekładów (dzieł i wydań) na pierwszym miejscu stoi Sienkiewicz (27), dalej idą: Reymont (12), Żeromski (9), Ossendowski (8), Przybyszewski (7), Tetmajer (7).

Od roku 1918 na scenach jugosłowiańskich grano sztuki następujących autorów dramatycznych polskich: Fredry, Zapolskiej, Przybyszewskiego, Wyspiańskiego, Katerwy, Perzyńskiego, Żeromskiego, Kiedrzyńskiego, Rittnera, Winawera, Nałkowskiej, Leczyckiego, Kaweckiego, Grzymały Siedleckiego, Szaniawskiego, Morozowicz Szczepkowskiej, Niemirowskiej, Niewiarowicza, Raorta, Hemara, Rostworowskiego.

Co do muzyki, w r. 1925—26 i 1926—27 w Zagrzebiu dawano balet Ludomira Różyckiego „Pan Twardowski", na akademii w lutym 1928 r. grano utwór sceniczny I. Vojnicza „Czudo sv. Vlaha", do którego muzykę skomponował Ludomir Rogowski, kompozytor polski, mieszkający stale w Dubrowniku, który w r. ub. otrzymał państwową nagrodę muzyczną w Polsce. W 15 rocznicę odrodzenia Polski dawano w Białogrodzie, Zagrzebiu i Lublanie „Halkę" Moniuszki; w 1935 opera lublańska wystawiła „Zemrudę" Raula Koczalskiego.

Z wystaw sztuki malarskiej wspomnieć należy wystawę obrazów Edwarda Okunia w r. 1932 w Białogrodzie i wystawę prac graficznych Władysława Skoczylasa (w r. 1934 w Białogrodzie, Zagrzebiu i Lublanie). W roku 1935 w Białogrodzie urządzono wystawę grupy „Zwornik", a w r. 1937 w Muzeum ks. Pawła — wystawę prac malarzy polskich.

Ponadto w dziennikach i czasopismach ukazało się w tym okresie wiele artykułów, studiów, rozpraw o Polsce i jej kulturze, jak również wiele przekładów drobnych utworów, jak wiersze, nowele, opowiastki, których spis trudno jest ułożyć. Do spopularyzowania naszego dorobku duchowego na terenie Jugosławii przyczynili się znani poloniści, jak prof. Fran. Ileszicz, prof. J. Benesvicz, Gjorgje Zivanovicz (wydał również 2 podręczniki do nauki języka polskiego) i in. Jezyk polski i historia literatury są wykładane na wszystkich uniwersytetach jugosłowiańskich.

Zespół teatralny Związku Polaków w Kopenhadze. Okręg kopenhaski Związku Polaków zorganizował własny zespół teatralny, który urządza przedstawienia, cieszące się wielkim powodzeniem nie tylko wśród Polaków, mieszkających w Kopenhadze lub bliższej okolicy, lecz również z odległych nawet miejscowości. Ostatnio zespół ten urządził w sali teatralnej przy Haveselskabetsvej przedstawienie jasełek „Betlejem Polskie" Lucjana Rydla. Widowisko było udane i licznym widzom dostarczyło wielu wzruszeń, przypominając im odległą Ojczyznę.

Nowa inscenizacja „Halki" w Hamburgu. Na scenie opery państwowej w Hamburgu wystawiono w nowej inscenizacji operę Moniuszki „Halka" pod ogólnym kierownictwem znanego już w polskich kołach teatralnych i muzycznych gen. intendenta opery hamburskiej, Henryka Strohma. Orkiestrą dyrygował znany niemiecki kapelmistrz Schmidt-Iserstedt. Bardzo dobra obsada i przebogata wystawa „Halki" wzbudziły zachwyt widowni, a szczególnym uznaniem cieszyły się bisowane tańce: Mazur i Góralski, odtańczone przez operowy zespół baletowy pod kierunkiem baletmistrzyni Helgi Swedlund.

Balet „Pan Twardowski" w operze antwerpskiej. Opera Antwerpska wyraziła zgodę na projekt swego baletmistrza, Lwowianina p. Władysława Karneckiego, wystawienia jeszcze w bieżącym sezonie baletu Różyckiego „Pan Twardowski". Będzie to druga z kolei manifestacja artystyczna polska w Antwerpii zorganizowana przez p. Karneckiego. Przed kilku tygodniami wystawił on bowiem polskie tańce ludowe.

Polski balet reprezentacyjny we Francji. Polski balet reprezentacyjny wyjechał po raz drugi zagranicę, na występy we Francji i w Niemczech. Kierownikiem artystycznym jest obecnie Leon Wójcikowski, drugim baletmistrzem — Jan Ciepliński. Balet występował w Cannes 2, 4 i 5-go b. m., 9 i 10 odbyły się występy w Nicei, 15-go w Monte Carlo. Powrót baletu do Warszawy nastąpi 1 kwietnia, tu dwukrotny występ w teatrze Wielkim z okazji międzynarodowego festiwalu muzyki współczesnej, po czym ma się odbyć wyjazd do Ameryki na dwutygodniowe występy w nowojorskim „Metropolitan Opera House".

Plastycy polscy w Londynie. Plastycy polscy, przebywający w Londynie, cieszą się w sferach artystycznych stolicy W. Brytanii wielkim uznaniem. Silne echo wywołała wystawa prac Beszczyńskiego oraz wystawa rzeźb Magdaleny Gross, która niedawno wystąpiła przed obiektywem i mikrofonem londyskiej stacji telewizyjnej, demonstrując swoje rzeźby i opowiadając słuchaczom angielskim o pracy artysty-rzeźbiarza. Do wystawy przygotowuje się obecnie Rajmund Kanelba, który zasłynął w Londynie jako malarz dzieci. Karykaturzysta Feliks Topolski przygotowuje ilustracje do wydania książkowego „Genewy" Bernarda Shaw, który zachwycony jest rysunkami polskiego artysty. Poza tym Topolski pracuje nad albumem rysunków, ukazujących w krzywym zwierciadle życie zaułków londyńskich. Album wyda jedno z największych wydawnictw angielskich.

Koncert artystów polskich w Berlinie. W stolicy Rzeszy odbył się koncert pianisty polskiego prof. Aleksandra Sienkiewicza i śpiewaczki koloraturowej Juno de Gerder. Artyści polscy wykonali utwory kompozytorów polskich, niemieckich i hiszpańskich, przyjmowani gorąco przez licznie zgromadzoną publiczność.

Koncerty śpiewaka polskiego w Kanadzie. W Montrealu i w Toronto odbyły się koncerty tenora Michała Hołyńskiego. Prasa kanadyjska wyraża się o artyście z dużym uznaniem, przypominając, że jest on uczniem prof. Zaremby.

Dom Polski w Algierze. W dniu 2 bm. na nowo podjęło swą działalność stowarzyszenie „Dom Polski" w Algierze, założone w 1924 r. Miejscowa kolonia polska wybrała na przewodniczącego stowarzyszenia p. Lucjana Godziszewskiego. Dom Polski w Algierze, jako bezpośredni cel stawia sobie zorganizowanie biblioteki i czytelni czasopism, oraz udostępnienie wiadomości z Polski i o Polsce członkom kolonii polskiej, z rzadka rozsianym po całym terytorium Algierii.

Uczelnia lekarska w Łodzi

W najbliższych dniach odbędzie się posiedzenie prezydium zarządu towarzystwa wyższej uczelni w Łodzi, poświęcone omówieniu spraw finansowych. Jak wiadomo, w Łodzi powstaje wyższa uczelnia lekarska.

Towarzystwo uczelni opracowuje obecnie jej budżet. Zwrócono się do zarządu miejskiego z prośbą o przekazanie towarzystwu terenu w dzielnicy „Radogoszcz", odpowiedniego pod budowę zakładu naukowego. Teren ten liczy 6 hektarów. Obecnie rozważana jest sprawa finansowego udziału miasta i społeczeństwa łódzkiego w realizowaniu wyższej uczelni lekarskiej. Ministerstwo Opieki Społecznej przeznaczyło na ten cel kwotę 2 milionów złotych.

VARIA

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

We Lwowie zmarł profesor zwycz. historii starożytnej U. J. K., b. podsekretarz stanu w Min. W. R. i O. P. i kierownik tego ministerstwa ś. p. Konstanty Chyliński. Śmierć ś. p. prof. Chylińskiego szczególnie boleśnie dotyka młodzież akademicką, której był szczerym i wypróbowanym przyjacielem, pełniąc przez długi szereg lat obowiązki kuratora Bratniej Pomocy stud. U. J. K.

Dnia 8 bm. zmarł we Lwowie ś. p. prof. dr Leopold Caro, wybitny uczony-ekonomista, jeden z najbardziej znanych ekonomistów polskich. Od r. 1920 ś. p. prof. Caro był profesorem ekonomii społecznej i nauk prawniczych na Politechnice Lwowskiej. Był m. in. prezesem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego i redaktorem organu naukowego tego towarzystwa oraz wiceprezesem Rady Społecznej przy Prymasie Polski.

W Węgierskiej Górce zmarł ś. p. inż. Jerzy Buzek, profesor Akademii Górniczej w Krakowie. Zmarły zdobył sobie europejską sławę szeregiem wybitnych prac z dziedziny odlewnictwa.

LIGA KULTURY RZYMSKIEJ

Od roku 1937 istnieje w Warszawie stowarzyszenie pod nazwą LIGA KULTURY RZYMSKIEJ, która postawiła sobie za zadanie propagandę zasady, iż kultura rzymska była, jest i powinna być podstawą cywilizacji państw o kulturze zachodniej.

Liga urządziła dotychczas następujące zebrania odczytowe: 1) z odczytem prof. d-ra Tadeusza Zielińskiego o wpływie geniuszu rzymskiego na kultury narodów; 2) d-ra Ignacego Wieniewskiego o łacinie jako języku międzynarodowym; 3) docenta Stanisława Seligi o wpływach rzymskich na język i literaturę polską; z kolei Liga urządza odczyty o wpływach kultury rzymskiej na inne narody europejskie, rozpoczynając od odczytu prof. d-ra Adriana Divekyego o wpływach rzymskich na kulturę węgierską w dniu 15 lutego br. Jako następny zapowiedziany jest odczyt prof. d-ra Olgierda Górki o wpływach rzymskich na kulturę rumuńską.

Odczyty swoje urządza Liga razem z Instytutem Kultury Italskiej w Warszawie w lokalu tegoż. Poszczególne odczyty są urzadzane równocześnie w porozumieniu z odnośnymi stowarzyszeniami specjalnymi, jak np. z Towarzystwem Umiędzynarodowienia łaciny, Towarzystwem Filologów Polskich i z Towarzystwem Polsko-Węgierskim im. Stefana Batorego, jak odczyt prof. Diveky'ego. Prezesem Ligi i jej założycielem jest prof. dr Tadeusz Hilarowicz. Liga przyjęła za swoje hasło słowa: „Imperium Romanum Spirituale, „wychodząc z założenia, że łączność duchowa pomiędzy wszystkimi narodami, stojącymi na gruncie cywilizacji rzymskiej, jako podstawy ich kultury stanowi rodzaj duchowego władztwa rzymskiego nad narodami.

W myśl uchwały walnego zgromadzenia z dnia 7 kwietnia 1938 mianowano pierwszymi członkami honorowymi stowarzyszenia prof. d-ra Tadeusza Zielińskiego, prof. Konstantego Chylińskiego i prof. d-ra Władysława Abrahama, którym odnośne pisma doręczył osobiście prezes Ligi.

ZJAZD FILOZOFICZNY WE LWOWIE

Polskie Tow. Folozoficzne zorganizowało w dn. 11 i 12 lutego Zjazd filozoficzny we Lwowie. W sobotę, 11 lutego, przed południem nastąpiło złożenie wieńca na grobie śp. Twardowskiego, wieczorem odbyło się doroczne walne zebranie Polskiego Tow. Filozoficznego z odczytem d-ra S. Błachowskiego pt. „Nauka i magia". W niedzielę, 12 lutego pt. przed południem dr. Henryk Mehlberg wygłosił odczyt pt. „O pojęciu poznania empirycznego", następnie zaś odbyło się zebranie, które ustaliło formy organizacyjne utrzymywania kontaktu między uczniami śp. Twardowskiego. Po południu odbył się odczyt publiczny prof. d-ra K. Ajdukiewicza pt. „O pojęciu sprawiedliwości".

http://rcin.org.pl

„PAMIĘTNIKI LEKARZY“

obnażają okropne rany kultury w Polsce

Nakładem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych wyszło olbrzymie dzieło o 700 blisko stronach wielkiego formatu, na które złożyło się 10 pamiętników lekarzy, jakie wyróżniono z liczby 50, nadesłanych na konkurs, rozpisany przez ZUS. Po „Pamiętnikach Chłopów“ i księdze „Robotnicy piszą“ jest to trzecia księga wielkiej wagi społecznej, bo jest żywym dokumentem naszej epoki, przeżywanej w Polsce. To trzy wielkie ilustracje „świateł i cieni“ naszej rzeczywistości. Odrazu można powiedzieć, że i ta trzecia jest równie koszmarna, jak tamte. Życie naszej biedoty chłopskiej i robotniczej, tak, jak ją czasem przedstawiają beletryści — **to sielanka wobec tych jątrzących ran nędzy czarnej i otchłannej ciemnoty, z jaką styka się tylko chyba lekarz.** Ale i on nie styka się jeszcze z dnem. Tam nikt nie dociera. Tego dna można się tylko domyślać. Boć przecież na tych 700 stronach mamy tylko historię kontaktu lekarza z ubezpieczonymi, a więc z klasą „uprzywilejowaną“. A jeżeli lekarze opowiadają o swojej praktyce prywatnej, to przecież lekarza wzywają tylko „sfery oświecone“ z tej biednej ciemnej masy ludowej. Są jeszcze i takie, które o lekarzu nie marzą nawet.

Wszystkie te pamiętniki, a jest ich dziesięć, stanowią jedno wielkie oskarżenie społeczeństwa, może narodu, może rządu, — nie będziemy w tej chwili w to wchodzili, że lud polski degeneruje się z dnia na dzień, że akcja lecznictwa ubezpieczeniowego i akcja oświatowa w Polsce to kropla w morzu, że gdyby śmiertelność z niechlujstwa, ciemnoty i nędzy, z braku lekarza, z braku ratunku zredukować do jakich takich norm cywilizacyjnych, to nasz przyrost ludności byłby chyba największy na świecie i za lat dziesięć zrównalibyśmy się liczebnie z Niemcami a za lat dwadzieścia z Rosją. Bismarck mawiał często o „polskich królikach“, myśląc o Polakach. Nie mylił się. Tylko że w Polsce często bywa tak, że małżeństwo ma tuzin dzieci i tuzin trumien. A potem matka, jeszcze młoda kobieta, umiera z wyczerpania.

Na czoło wszystkich tych pamiętników wybija się nie tylko treścią, ale i świetnym talentem pióra pamiętnik dra Z. Karasiówny. Ten pamiętnik — to utwór literacki plus dokument żywy i prawdziwy.

Czytanie tej książki jest dosłownie bolesną operacją nad własnymi nerwami, ale operacją konieczną. Tę książkę trzeba przeczytać, a przynajmniej kilka jej pamiętników, bo inaczej nie ma się pojęcia o rzeczywistym stanie rzeczy na naszej wsi i w małym miasteczku prowincji. Bez takiej lektury właściwie nic się nie wie. Reklama radosnej twórczości trwa przecież ciągle. Ośrodki dyspozycyjne dla rzeźby czy innej sztuki mają przykryć ropiejące rany na naszym organiźmie społecznym, zjadanym przez raka, gruźlicę i lues — nieleczone. Bo to, co się leczy — to pryszczyk na nosie z zadrapania czystym paznokciem wobec rozkładającego się ciała trędowatego.

Księga ta jest stwierdzeniem niewątpliwego dziś faktu, że, pomimo narzekań, jakże często słusznych, na zbiurokratyzowaną organizację „chorej kasy“, — ubezpieczenia społeczne, lecznictwo społeczne — to wielkie błogosławieństwo dla ubogiej ludności, bez którego Polska przy jej nędzy materialnej byłaby wielkim cmentarzyskiem i dantejskim piekłem. To jeden fakt.

Drugi to ten, że nasi lekarze to nie są żadni zawodowcy, pracujący na kawałek chleba, **tylko bohaterowie, którym w czambuł należy się, każdemu wielka wstęga Virtuti Militari i Krzyża Walecznych.** Żołnierz tylko podczas wojny i w ataku idzie na śmierć. Lekarz codzień. Przynajmniej w Polsce. W jakich warunkach samozachowania życia i zdrowia pracują nasi lekarze ubezpieczalni — można się przekonać z tych szczerych, skromnych i „łagodnych w wyrazie“ wyznań. Są tacy, którzy zdobywają się w swoich warunkach na humor albo na liryzm. Nadludzie.

Tych nadludzi mamy w Polsce równo pięć razy za mało. Istnieją przeciwnicy Łodzi, która chce fundować Akademię Medyczną. Może takich akademii potrzeba jeszcze kilka. Ale żeby młodzież chciała się poświęcać medycynie, trzeba lekarzom ubezpieczalni zapewnić, **że będą otrzymywali dwukrotnie przynajmniej takie pensje, jak dziś i że będą mieli dwukrotnie mniej pacjentów na każdego, niż to jest dziś.** Gdy lekarz ubezpieczalni ma dziś 60 pacjentów dziennie w poczekalni i tegoż dnia 15 wyjazdów po złych polskich drogach z jeszcze bardziej złymi latarkami — to jest właśnie system pracy absurdalnej.

Szpitali w Polsce potrzebaby w najkrótszym czasie wybudować jeszcze ze dwieście z całkowitym wyposażeniem. Czy reforma pieniężna Banku Polskiego pomoże co na to? Wątpimy.

Po przeczytaniu każdego z 10 pamiętników wyrywa się krzyk „ratunku“! W tym jednym wyrazie możnaby streścić całą „recenzję“ z tej doniosłej księgi. Jest też w tej księdze sto tematów do powieści i sztuk teatralnych, nowel i żałosnych elegii. Ale to będzie literatura.

Czyżby i te pamiętniki miały pozostać tylko numerem piśmiennictwa?

Strach pomyśleć, że tymczasem tak jest.

G. O.

Ćwierćwiecze pracy

historyków krakowskich

W auli Uniwersytetu Jegiellońskiego odbyła się uroczysta akademia, poświęcona zobrazowaniu pracy **Krakowskiego Towarzystwa Historycznego na przestrzeni ćwierćwiecza.**

Na program złożyły się przemówienia prezesa krakowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego profesora U. J. i sekr. gen. P. A. U. dr. **St. Kutrzeby,** rektora U. J. prof. dr. **Lehr - Spławińskiego,** dyr. **Papée'go,** prof. **L. Kolankowskiego** oraz odczyty **prof. J. Feldmana** o ćwierćwieczu pracy oddziału i **prof. Konopczyńskiego** pt. „Przeszłość i teraźniejszość nauk historycznych w Krakowie“.

Oddział Polskiego Tow. Historycznego założony został w r. 1913 pod kolejnym kierownictwem prezesów: **Pryfedy, Fryd. Papée'go, Wacława Sobieskiego** a od roku 1932 — **St. Kutrzeby.** W okresie tym Oddział urządził przeszło **300 posiedzeń naukowych** z udziałem najwybitniejszych historyków Polski. Treścią odczytów były wszystkie dziedziny wiedzy historycznej. Obok historyków polskich na posiedzeniach tych dzielili się swoimi zdobyczami w dziedzinie wiedzy historycznej również liczni przedstawiciele nauki obcej.

Oddział krakowski P.T.H. odegrał wybitną rolę w dziedzinie organizacyjnej pracy historycznej, dając inicjatywę do wydawnictwa **Polskiego Słownika Biograficznego** oraz do wchodzącego obecnie w stadium realizacji **10-o tomowego wydania dziejów Polski i publikacji polskich traktatów międzynarodowych.**

Bilans pracy Towarzystwa wyraża się m. in. w imponującej cyfrze 340 odczytów, w tym 3 cykle prelekcji publicznych o przyczynach upadku Polski, wojnie światowej i dziejach polskiej świadomości narodowej.

Ś p. Antoni Madeyski

W Rzymie zmarł nagle na udar serca znakomity rzeźbiarz polski Antoni Madeyski, urodzony w r. 1862 na Wołyniu. Zmarły studiował początkowo w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie a następnie w Wiedniu, od r. 1898 osiadł na stałe w Rzymie.

Z pośród dzieł wielkiego rzeźbiarza wymienić należy w pierwszym rzędzie sarkofagi na Wawelu królowej Jadwigi i króla Władysława Warneńczyka. W ostatnich latach Madeyski doknoał restauracji ołtarzy w rzymskim kościele św. Stanisława. Na cmentarzu rzymskim Timpo Verono znajduje się grobowiec artysty malarza Aleksandra Gierymskiego, również dłuta Madeyskiego. Przed dwoma laty Antoni Madeyski wykonał piękne popiersie kanclerza Zamojskiego, ofiarowane Uniwersytetowi Padewskiemu przez ambasadę R. P. w Rzymie. Inne rzeźby znakomitego artysty zdobią muzea i kolecje prywatne, zarówno w Polsce, jak i w Italii.

Zmarły pozostawił bogaty zbiór sztuki, w którym za specjalnie cenną uważano kolekcję miniatur. Część tych zbiorów została jeszcze za życia artysty złożona w Muzeum Poznańskim, większość jednak znajduje się w Rzymie.

Pamięci Bolesława Koskowskiego

Dnia 7 b. m. w kościele Zbawiciela w Warszawie po Mszy św. za duszę ś. p. sen. Bolesława Koskowskiego, ks. prałat Nowakowski poświęcił wmurowaną w bocznej nawie tablicę brązową ku uczczeniu zasług znakomitego publicysty polskiego i przemówił do zebranych licznie kolegów Zmarłego i przedstawicieli świata politycznego. Tegoż dnia w Szkole Nauk Politycznych odbył się akt uczczenia pamięci znakomitego pisarza, jako b. profesora S. N. P. i dziekana wydz. publ. i dzienn. Przemówienia wygłosili: sen. Ign. Baliński, prezes Witold Giełżyński, sen. Konrad Olchowicz i prof. St. Zalewski.

PLAMY NA SŁOŃCU

Przeciw „strzelaniu na dziewczynę” i innym bezeceństwom

Ma słuszność kol. Gong, z „Kroniki Polski i świata“, że „barbaryzmy nie są najgorsze“, chociaż wątroba się we mnie przewraca na widok „uciekinierów“, błąkających się wciąż po łamach prasy polskiej.

Jeszcze gorsze bywają przekłady. Zwłaszcza przekłady modnych powieści. Nie wiem, jak rekrutują się tłómacze i jakich wymaga się od nich kwalifikacji, przypuszczam jednak, że tu rządzi przypadek, albo pokrewieństwo. Zły traf lub złowrogi nepotyzm kładzie pióro do ręki przygodnym tłómaczom i oto w księgarniach i czytelniach pojawiają się przekłady utworów zagranicznych w języku, zbliżonym cokolwiek do polskiego, ale właściwie przypominającym jakiś volapück. I taką strawą karmią się liczne rzesze czytelnicze w wolnej ojczyźnie...

Jeśli kucharka nie umie gotować, to traci miejsce. Jeśli tłómacz nie zna języka polskiego, to powinien być przez wydawców trzymany zdaleka. Tylko, że na spaskudzonej pieczeni pozna się każdy, a na spaskudzonym przekładzie — tylko wydawca, uczony w piśmie. Czyli nie każdy...

Oto kilka przykładów. Trzymajcie się mocno! Weźmy jeden z najnowszych utworów modnej Vicki Baum p.t. „Miłość Doris Hart“, w autoryzowanym przekładzie Dra I. Bermana.

Zaraz na wstępie czytamy (str. 11):

„Adwokat wdychiwał głęboko powietrze“. A nieco dalej:

— „Będę kiedyś sławną śpiewaczką — rzekła ze swoim ochrypłym głosem“ (str. 25).

W ogóle dziwne rzeczy robią i mówią bohaterowie tej powieści!

Na str. 59 jeden z nich mamrocze:

— „Nie mogę sobie poprostu wybić ciebie z karku“.

A drugi

„z dzikim ruchem ulepił dwie duże okrągłe piersi“ (str. 69). Należy dodać, że mowa o rzeźbiarzu. Niechby sobie lepił piersi duże i okrągłe, tylko dlaczego „z dzikim ruchem“?

Bohaterka „nie ubrała bucików“ (str. 71) a w innym znów miejscu, stała, jak gdyby dostała pożądne (!) uderzenie w żołądek“ (str. 78).

Gorzej jeszcze:

— „Jestem tą dziewczyną, na którą strzelił Niemiroff“ — czytamy ze zgrozą na str. 160.

Strzelanie „na dziewczyny“, dotąd niepraktykowane w Polsce, wprowadził dopiero p. dr Berman.

Nie tylko „na dziewczyny“, bo, jak się dowiadujemy na str. 161:

„Bazyl strzelał na miljonera“...

Bagatela! Ktoś jeszcze na str. 155 ostrzega:

„To nie jest rzecz, która się zna na żartach“.

Dość żartów! Mamy cenzurę, która czuwa bardzo nawet gorliwie ne quid detrimenti republica capiat przez utwory niemoralne i nieprawomyślne. Gdyby czuwano równie gorliwie nad czystością języka polskiego w druku, to dr I. Berman wróciłby do szkoły „dla dorosłych“. I tam siedziałby tak długo, aż by mu wreszcie wybito z głowy — a nie „z karku“ — strzelanie „na dziewczyny“ i inne bezeceństwa.

Innego rodzaju lapsus wyłowiłem z książki o Czyngis-Chanie, tłumaczonej z rosyjskiego przez pewną bardzo wziętą dziennikarkę i literatkę, której nazwiska nie wymienię przez galanterię, obowiązującą wobec płci pięknej. Czytamy tam o Mongołach „gotowych na dany znak spałaszować jeńca“. Okrucieństwo Mongołów jest powszechnie znane, ale o ich ludożerstwie dowiadujemy się dopiero teraz. Czyżby żołnierze Czyngis-Chana pożerali jeńców? Nie, to tylko tłumaczka nie umie po polsku. W tekście rosyjskim było zapewne „izrubi szaszkami“, czyli zarąbać szablami (pałaszami), co naiwnie przetłumaczono na „spałaszować“.

Sat.

P. S. W poruszonej tu w Nr 1 sprawie „poniewierania języka“ otrzymujemy od p. Władysława Modrzewskiego, notariusza w Lublinie, następujące uwagi:

„W Dzienniku Ustaw i innych wydawnictwach urzędowych, które w zasadzie powinny być redagowane w najczystszej polszczyźnie, trafiają się germanizmy. W b. Galicji nie krępowano się używać zwrotów i wyrazów niemieckich, uważanych za objaw wyższej kultury... Oto kilka najczęściej spotykanych germanizmów:

„Aplikatura, delegatura, judykatura“, zamiast „aplikacja, delegacja, jurysprudencja lub orzecznictwo“; „ewidencja“, zamiast „wykaz“; „koło dwadzieście tonn, koło trzydzieści sztuk“, zamiast „koło dwudziestu, trzydziestu“; „po myśli przepisu“, zamiast „w myśl przepisu“: „tak długo — jak długo“, zamiast „dopóty — dopóki“; „spaźniać się, ubrać suknię, spóźnić pociąg“; „zaistnieć“, wyraz bez sensu, wszak istnieć znaczyło to samo, co być, trwać; czy można „zabyć, zatrwać“?

* * *

Zwracamy się do Czytelniczek i Czytelników „Obrony Kultury“ z uprzejmą prośbą o przesyłanie nam swych uwag o wszelkich rażących wykroczeniach przeciw kulturze i dobrym obyczajom w naszym życiu publicznym i towarzyskim, w sztuce, w pracy zawodowej, w polityce itd. Chętnie z łaskawie nadesłanych listów będziemy korzystali, wymieniając nazwiska i adresy autorów, o ileby sobie tego życzyli, lub przyjmując je tylko do wiadomości, bez ich wymieniania, w razie odpowiednich zastrzeżeń. Listy należy adresować do p. Sata, w redakcji „Obrony Kultury“ (Al. Jerozolimskie 37).

http://rcin.org.pl

JAN KURZAWA

O prawdziwą i piękną sztukę kościelną w Polsce

Winien istnieć jakiś ośrodek ideowy, badawczy i organizacyjny w dziedzinie sztuki kościelnej na terenie całej Polski. Dogmatyka i literatura, tradycja i ikonografia warunkują powstawanie dzieł wszelkiej sztuki kościelnej, równolegle do wartości czysto artystycznych.

Znajomość tych zasad jest zupełnie obca tak artystom, jak i odbiorcom, przede wszystkim duchowieństwu, jako głównemu odbiorcy tworzywa artystycznego dla polskiego kościoła. Brak na ten temat studiów, brak popularyzowania tych zasad. Zagadnienia powszechnie znane w średniowieczu, posiadające swą bogatą literaturę, dziś nie istnieją u nas prawie zupełnie.

Rzymska komisja pontyfikalna do spraw artystycznych stale pracuje nad tworzeniem zasadniczych praw sztuki kościelnej. Zagadnienia tradycji kościelnej, mające w każdym kraju odmienne oblicze, podlegają pracom poszczególnych instytucyj, współpracujących ze zwierzchnością kościelną dla osiągnięć na tym polu. Są to: Institut für Chriestliche Kunst w Wiedniu, Gesellschaft für Chriestliche Kunst w Monachium dla katolickich Niemiec, Sociètè d'art Sacré we Francji, Groupe romande de St. Luc w Szwajcarii, odpowiedni związek we Włoszech, Wydział Sztuki Kościelnej przy Ministerstwie Oświecenia w Hiszpanii — wszystkie te instytucje posiadają własne wydawnictwa, poświęcone zagadnieniom sztuki kościelnej, własne szkoły artystyczne, czasopisma, doskonale zorganizowane wystawy, objeżdżające cały kraj.

W Polsce nie ma zrozumienia całokształtu tych spraw. Poszczególne wysiłki ujmują je częściowo, ograniczając się do pewnych tylko aspektów. Diecezjalne komisje artystyczne działają w zakresie tylko dużych zespołów kościelnych i to w formie negatywnej, przyjmując lub odrzucając projekty. Działalność ośrodka naukowego Sztuki Kościelnej winnaby być w takich wypadkach pozytywną, korektorską i doradczą wobec twórcy takiego projektu, za pośrednictwem wydawnictw, opracowań, a nawet w razie potrzeby wpływu osobistego członków Instytutu.

Należałoby popierać naukowe badania nad sztuką kościelną w dziedzinie dogmatyki, liturgii, historii, tradycji, ikonografii i konserwatorstwa oraz twórczości współczesnej; wydawać odpowiednie opracowania i popularyzować osiągnięcia w całej prasie katolickiej; wydawać czasopismo, poświęcone sztuce kościelnej, w którym formułowanoby współczesne dążenia na tym terenie. Pozwoliłoby to na angażowanie do współpracy ludzi, zainteresowanych tym zagadnieniem, pozwoliłoby na szersze opracowywanie i popularyzowanie spraw dziś wprost nieistniejących na naszym terenie, a najbardziej istotnych.

W pewnym zakresie takim ośrodkiem badawczym jest Studium Sztuki Liturgicznej Zakładu Architektury Polskiej. Stworzenie placówki kościelnej byłoby olbrzymią pomocą dla Studia, które w pewnej mierze wiele przygotowało na tym terenie.

Jakaś określona placówka powinna mieć głos decydujący w produkcji artystycznej i artystyczno - przemysłowej dla celów kościelnych i religijnych, aby z jednej strony przeciwdziałać fatalnej martwocie i brzydocie produkcji dzisiejszej przez uświadamianie zainteresowanych, przede wszystkim kleru, a nieraz nawet zdobywanie w bardziej drastycznych wypadkach zakazu episkopatu. Z drugiej strony organizacje i instytucje katolickie winny popierać i rozpowszechniać twórczość prawdziwie artystyczną, nawet organizując własną wytwórczość, jak olbrzymie zakłady „Christlische Kunst“ w Wiedniu, których działalność docierała i do Polski.

Praca w dziedzinie artystycznej, opierając się na starej maksymie: **„im więcej widzimy rzeczy pięknych, tym zdolniejsi stajemy się, by czynić dobrze“**, znajduje duży oddźwięk. „Ars Christiana“ w Warszawie, Stowarzyszenie Brata Alberta, świeżo powstałe w Krakowie, chcą i mogą pracować, jednak mają zbyt mało poparcia i możliwości.

Trzeba umożliwić organizowanie całych wystaw przede wszystkim na wielkich imprezach wystawowych, dalej na odpowiednią skalę w małych nawet miasteczkach, docierając wszędzie z dziełami prawdziwie artystycznymi. Nie bez znaczenia byłby tu efekt propagandowy.

Działalność artystyczna winna dotrzeć nakoniec nawet do wszystkich dziedzin, jak np. tkactwo i hafciarstwo dla Kościoła, posługujące się dziś starymi, ordynarnymi wzorami niemieckimi.

Kursy z prelekcjami wybitnych naukowców otworzyłyby artystom nowe horyzonty, zaznajamiając ich z funkcjami sztuki religijnej i kościelnej, jednocześnie, przy odpowiednim ujęciu, kształcąc katolickie społeczeństwo.

Stworzenie jakiegoś ośrodka doradczego i organizacyjnego może bardzo wiele zdziałać w zakresie współczesnej sztuki kościelnej. Wielkie zapotrzebowanie na architekturę, rzeźbę, malarstwo i mniejszą sztukę kieruje się w Polsce li tylko przypadkiem. Kapłan z prowincji, szukający dla nowego kościoła jakiegokolwiek dzieła sztuki, zdany jest na łaskę przedsiębiorców handlowych, oferujących martwe kopie lub łatwizny. Jeśli jakoś znajdzie artystę, nie ma wyboru, boi się skorzystać z jego prac, albo jest po wykonaniu niezadowolony. Przepaść między klerem i artystami jest w obecnej chwili wielka.

Istnienie wydawnictw, dobrze prowadzonego archiwum fotografii i projektów byłoby tym pomostem, który, zetknąwszy wytwórcę i odbiorcę, mógłby współdziałać w powstawaniu piękna, docierającego do najszerszych warstw katolików w Polsce.

Fakty i opinie

Przeciwko obłudzie, oszczerstwu i kłamstwu

Ostatni list pasterski ks. Biskupa Stanisława Kostki Łukomskiego „o nadużyciach mowy, kłamstwie, obłudzie, niesprawiedliwych i podstępnych oskarżeniach, krzywoprzysięstwie oraz oszukiwaniu“, zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie. Wskazuje w nim ks. Biskup na największe grzechy naszej współczesnej obyczajowości, zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym, grzechy przeciwko zdrowiu moralnemu narodu i kulturze.

„Nadużyciem mowy jest — pisze Ks. Biskup — już nieszczerość w mówieniu, przesadne ocenianie czynów czy osób, bezzasadne ich wychwalanie. Ta nieszczerość objawia się w niezgodnym z rzeczywistością wynoszeniu zasług jednostek, od których przez pochlebstwa chciałoby się otrzymać dla siebie korzyści. Beztreściwe przemowy, pełne uniżoności, hołdowniczе manifestacje, sztuczne obchody — oto objawy takiej nieszczerości, niegodnej uczciwego człowieka. Jakże często jesteście świadkami wystąpień brzmiących pustymi słowami, obietnicami, zapewnieniami, które są obliczone na wprowadzenie w błąd słuchaczy lub na zwabienie ich do poparcia samolubnych zamiarów jednostek czy zespołów. „Nie dajcie się zwabić — przestrzega św. Paweł (I do Kor. 15, 33) — złe mowy psują dobre obyczaje“... Zwłaszcza w sprawach publicznych nieprawda, pochlebstwo i przesada wyrządzają poważne szkody. Mącą bowiem wzrok tych, którzy nim daleko sięgać i jasno sprawy publiczne osądzać albo prowadzić powinni. Zaiste nieprzyjaciółmi osób na kierowniczych stanowiskach są ich rzekomi przyjaciele pochlebcy, nie mający odwagi przedstawić swoim przełożonym rzeczywistych potrzeb i nastrojów. Tym swoim niskim tchórzostwem ściągają na siebie główną część winy za niesprawiedliwe wystąpienia tych, którzy sprawują władzę i rządy“.

„Brońmy się przed rozpanoszeniem obłudy, gdyż jest ona wrogiem cnoty miłości bliźniego, jest nieprzyjacielem owocnej współpracy, jest poniżeniem godności ludzkiej. A czy mało to dzisiaj pomiędzy nami obłudników — takich, co to przy lada sposobności w stosunkach towarzyskich, społecznych, w działalności organizacyjnej czy politycznej zakrywają prawdę, lub naginają ją do własnych zamiarów i dążeń? Skłócone życie towarzyskie, zawodowe, społeczne — oto zły owoc przede wszystkim obłudy“.

Lekarstwem przeciw zakłamaniu jest przede wszystkim budzenie godności ludzkiej i wpajanie zasad religijnych od dzieciństwa.

„Jeśli utrzymuje się mniemanie, że w sprawach publicznych nie obowiązuje przestrzeganie ósmego przykazania Bożego, że posługiwanie się nieprawdą, fałszem, podstępem jest dozwolone — to ojcem tego przewrotnego zapatrywania jest pospolite odstępstwo od moralności, nadanej ludziom przez Boga — jest jaskrawa bezbożność... Siostrzycami kłamliwości są obmowa i oszczerstwo. Jedno i drugie są zaprzeczeniem wielkiego przykazania Bożego o miłości bliźniego. Są one złączone z pychą, bo obmówca przywłaszcza sobie samowolny sąd nad bliźnim a oszczerca w dodatku świadomie i złośliwie wydaje sąd fałszywy o bliźnim. Pismo św. nazywa obmówcę obrzydliwością (Przypow. 24, 9) a św. Bernard woła: „Obmowo, jak wielkim jesteś występkiem, jak wielkim grzechem, jak okropną zbrodnią“. Jeśli tak osądza się już obmówcę, na jak ciężkie potępienie zasługuje oszczerca? A tacy ludzie wśród nas żyją, swój niecny występek uprawiają, domagając się przy tym skwapliwie sami dla siebie uznania i szacunku od innych... Jakże proste ale i stanowcze jest upomnienie Pana Jezusa: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni“ (św. Mat. 7,1)“.

Trzeba nam — stwierdza ks. Biskup — przywrócić i umocnić w sobie znieprawione przez złe wpływy i przykłady poczucie prawdziwego honoru własnego i bliźnich, musimy przez zwalczanie fałszu w słowie i czynie pomnażać wewnętrzną siłę narodu i utwierdzać jego dobrą sławę na zewnątrz.

Pomnik Dygasińskiego

7-go marca b. r. przypada setna rocznica urodzin wielkiego pisarza, piewcy Ponidzia (od rzeki Nidy) kieleckiego, Adolfa Dygasińskiego. W związku z tą uroczystością zarząd Koła Kielczan decyzją walnego zgromadzenia uchwalił wystawić w Kielcach pomnik ku czci Adolfa Dygasińskiego. Komitet pod przewodnictwem p. Zienkowskiego postanowił zwrócić się do prezydenta miasta z prośbą o wyznaczenie miejsca pod budowę pomnika, oraz nazwanie jednej z ulic w Kielcach imieniem Dygasińskiego. Twórczość Dygasińskiego, była b. silnie związana z kieleczczyzną, której poświęcił m. in. takie utwory, jak: „W Kielcach“, „Szeląg kieleckie“ i „Marcelek Piszczalski“.

Listy do Redakcji

Bolesne i niekulturalne nieporozumienie

Procesy o szczerstwa w prasie co jakiś czas zatruwają atmosferę. Szary człowiek z ulicy nie może zrozumieć, że panowie piszący po gazetach tak mało cenią słowo, które jest przecież ich sztandarem, puklerzem, herbem i zawodem. Jeden z tygodników ma proces z całym dziennikarstwem o obrazę czci całej sfery obywateli. Inny tygodnik będzie miał proces o obrazę świata aktorskiego. Więc nie są to już wyzwania, rzucane jednostce, ale całemu zawodowi. Ponieważ nie można całego zawodu, wielkiej ilości ludzi potępiać w czambuł za czyjeś prywatne grzechy, musimy się zgodzić, że w owych napaściach, czy jak je tam nazwać, musiało być wiele przesady, wiele nieporozumienia, sądów powierzchownych lub emocji na tle osobistym.

A to nie licuje z powagą słowa!

W ostatnich dniach znów uwagę czytelników pism zwróciła niesłychanie pono ostra napaść p. J. Wielopolskiej na p. Iłłakowiczównę. Ja, skromny choć zawzięty czytelnik pism — postanowiłem sobie tym razem zbadać rzecz gruntownie, by nareszcie mieć swoje zdanie, a nie ciągle narzucane mi przez prasę. Kupiłem sobie więc „Pliszkę w jaskini lwa“ p. Wielopolskiej i „Ścieżkę obok drogi“ p. Iłłakowiczówny.

Naprzód przeczytałem „Pliszkę“. Bawiłem się setnie. Co za werwa, co za ogień! Wściekły byłem na p. Iłłakowiczównę. Jak można było napisać podobnie bezczelną książkę, tyle nonsensów, tak brzydkiego samochwalstwa! To okropne! Co za upadek! A taka świetna poetka!

Zabrałem się potem do „Ścieżki“.

Zdumienie moje nie miało granic. „Ścieżka“ nie jest zupełnie tym, za co ją p. Wielopolska przedstawiła. „Pliszka“ jest fałszywym obrazem. Wszystko tam jest przekręcone i wywrócone, wszystko opacznie rozumiane i tendencyjnie wygłupione. To wszystko nie jest prawdą.

Książka Iłłakowiczówny nie jest książką o Piłsudskim. Jest to osobisty pamiętnik poetki, przeznaczony dla jej siostrzenic w pierwszym rzędzie, a potem dla młodych panienek. Jest to pamiętnik o sobie, z silnym przerostem egotyzmu, który jest cechą zasadniczą wszystkich poetów. To nie żadne samolubstwo ani mania wielkości, tylko zwykły egotyzm poetki. Nie ma poety bez tej cechy, od Byrona do Słowackiego i od Staffa do — Iłłakowiczówny. To co w tej książce jest o Piłsudskim, to jest tylko jego odbicie na tęczówce psychicznej autorki. O Marszałku dowiadujemy się z książki Iłłakowiczówny tylko tyle, że był to człowiek niezmiernej dobroci i niezwykłego poczucia humoru. Wszystko inne wiemy o nim poprostu z gazet. Nic innego Iłłakowiczówna nie odkryła.

Książka Iłłakowiczówny jest zwykłą autobiografią z pewną cechą introspekcji. Autorka także posiada poczucie humoru, bo często umyślnie rzeczy przejaskrawia, przesadza, ale najzupełniej świadomie. Jest typową kobietą. Książka szczera, pięknie napisana, oryginalnie, bo ma zabawnie naiwne komentarze. To także cecha poetów — prymitywizm pojmowania życia, graniczący z naiwnością. Ale to jest ich czarem.

Przeczytałem wówczas jeszcze raz „utwór“ Wielopolskiej, bo chciałem sobie wyrobić pojęcie o autorce. Wrażenie fatalne. Złość, nienawiść, zazdrość, wąskość horyzontu, gdy z książki Iłłakowiczówny widzimy autorkę o dobrym sercu, szerokim zasięgu myśli i uczuć, a tylko bardzo zatroskaną o siebie, co jest cechą wszystkich ludzi nie bojowych, z ducha cywilów, raczej słabych życiowo.

Broszurka Wielopolskiej ma genezę w jakiejś dziwnie upartej doktrynie co do stosunku społeczeństwa do wielkich ludzi w narodzie. Stosunek ten nie może być inny, jak tylko ludzki. Czytałem dziś w jednym z pism codziennych wspomnienia fryzjera warszawskiego o papieżu Piusie XI, którego strzygł za jego pobytu w Warszawie. Bardzo cenne wspomnienia. Rzuca piękne światło na zmarłego. O Napoleonie najcenniejsze wiadomości z wyspy św. Heleny pochodzą z memuarów Marchanda, kamerdynera Cesarza. O wielkich ludziach powinni wszyscy pisać, kto coś o nich wie. Historia wyłuska prawdę. Im materiału jest więcej, tym lepiej dla wielkości. O Marszałku zapewne jeszcze pisać będzie jego szofer, fryzjer i może kelner, który mu kiedyś usługiwał w kawiarni krakowskiej. Zabronić komuś pisania o człowieku, który w jego życiu wywarł największe wrażenie, nie jest ani w mocy prawa, ani w interesie historii, ani nie mieści się w europejskiej moralności. Każdy tak śpiewa, jak mu dziób wyrósł. Czermański malował Piłsudskiego w karykaturze. I Marszałek się nie obrażał.

Piłsudski musiał lubić Iłłakowiczównę dlatego także, że była jak on, Litwinką i tak samo jak on upartą. Widać z jej opowiadań, że bawiło go to. Nie trzeba zapominać, że Marszałek traktował Iłłakowiczównę na stopie towarzyskiej. Sam był wielkim panem i lubił ludzi pewnego poziomu towarzyskiego, oczywiście, nie wtedy gdy chodziło o Polskę, ale gdy chodziło, na przykład, o przyjęcie herbatką pana Prezydenta. W takich razach nie podobały mu się typy, klękające przy wejściu na podwórzec Belwederu. Czyżby stąd gniew!

Broszura Wielopolskiej zcześnie szybko z widowni, oby jak najprędzej, bo kompromituje bardzo kulturę polską. Czy można sobie wyobrazić francuską publicystkę, któraby się rzuciła z taką furią na jakąś angielską pannicę Balcombe, która miała 15 lat, gdy znała Napoleona na wyspie św. Heleny, nieraz mu dokuczała swym natręctwem, ale którą Napoleon bardzo lubił, choć ją nieraz za nos wyprowadzał z pokoju, nawet nie za ucho. Nikt we Francji nie pomyślałby o oburzeniu, że memuary o Napoleonie pisali „kaci angielscy“.

Różnica poziomu kultury.

Wycofać co prędzej z obiegu tę kompromitującą słowo polskie broszurę, bo już i tak dość narobiła reklamy książce Iłłakowiczówny. Kilka wydań jest pewnych.

Ludzie, ludzie, przestańcie się gryźć! Mniej krytykujcie, a więcej twórzcie dzieł pozytywnych!

Czytelnik „Obrony Kultury“

http://rcin.org.pl

Z tygodnia na tydzień

Dla inteligencji kulturalnej

„ARKADY"

Ostatni numer „Arkad" otwiera artykuł L. Niemojewskiego pt. „Górne „Fis" w Zakopanem". Następnie piszą: M. Walicki „Ofiara złota", St. M. Sawicka „Skansen" — Szwecja w miniaturze", P. Smolik „Ilustrowane kalendarze warszawskie w wieku XIX". Numer zdobi kilkadziesiąt ilustracji, szata graficzna piękna i staranna, całość na bardzo wysokim poziomie. Numer ostatni, styczniowy, ukazał się z opóźnieniem, a to na skutek zmian w tym wydawnictwie. P. W. Filipowiczowa przejęła miesięcznik na własność. Lutowy numer — czytamy w oświadczeniu wydawczyni — ukaże się z końcem bm., a od marca będzie już wychodzić normalnie na 1 każdego miesiąca. Redakcja „Arkad" mieści się teraz przy ul. Krakowskie Przedmieście 5 m. 33, adres administracji jak dotychczas, ulica Miodowa 22. W odezwie do czytelników p. Filipowiczowa pisze m. in.: „Zamierzam stale dążyć do pogłębienia i rozszerzenia treści „Arkad", zdaję sobie jednak dobrze sprawę, że dalszy los pisma zależy nie tylko od mojej pracy i dobrych chęci, ale w pierwszej linii od przychylności dotychczasowych czytelników, do których zwracam się dziś z gorącą prośbą o poparcie pisma przez jednanie mu nowych abonentów". Apel ten spotka się niewątpliwie z pełnym zrozumieniem, na jakie zasługuje.

„PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY"

Treść zeszytu lutowego jest następująca: Józef Mohoffer „Witraż jako kompozycja dekoracyjna", Stanisław Neyman „Iluminacje rękopisów średniowiecza", Adam Stawarski „Personalistyczne rozważania", Ludwik Zembrzuski „Cesarski Uniwersytet Warszawski i jego wydział lekarski 1905 — 1915", Walerian Dzieduszycki „Pamięć przeszłych czasów", Zdana Matuszewiczowa „Ze studiów nad D'Annunziem", Kazimierz Czachowski „Z zagadnień twórczości powieściowej", Roman Pollak „Polonika włoskie", Władysław Bogatyński „Z najnowszej historiografii marynistycznej polskiej".

„POLSKI PRZEGLĄD TOMISTYCZNY"

OO. Dominikanie prowincji polskiej zapoczątkowali wydawnictwo kwartalnika, poświęconego filozofii oraz teologii tomistycznej, którego pierwszy zeszyt w tych dniach się ukazał. Redakcja kwartalnika spoczywa w rękach o. I. Bocheńskiego, doc. U. J., oraz o. A. Gmurowskiego, doc. U. J. P. Nowe czasopismo będzie ogłaszać, oprócz artykułów i rozpraw zasadniczych, dyskusje naukowe, recenzje polskie i zagraniczne oraz przekłady wybranych tekstów św. Tomasza. Szczególną uwagę poświęcono zagadnieniu terminologii polskiej: pewne wytyczne ogólne w tym względzie podaje artykuł o. J. Woronieckiego „W sprawie terminologii tomistycznej". Na całość zeszytu składają się ponadto następujące rozprawy: ks. rektor dr K. Kowalski — „Kilka uwag o zagadnieniu substancji", ks. prof. J. Stepa — „Trudności nauki Arystotelesa o państwie jako całości", ks. dr. St. Adamczyk — „Różnica między istotą a istnieniem stworzeń według nauki św. Tomasza z Akwinu", ks. A. Rozwadowski T. J. „Akt i potencja w filozofii św. Tomasza z Akwinu", ks. prał. dr A. Żychliński — „O formalne zrozumienie św. Tomasza".

„ZAGON"

Ukazał się nowy numer mies. „Zagon", wydawanego przez Zrzeszenie Inteligencji Ludowej i Przyjaciół Wsi. Zwraca w nim przede wszystkim uwagę obszerny dział z „życia organizacji", świadczący o ożywionej działalności tej niedawno powstałej organizacji.

Celem Zrzeszenia Inteligencji Ludowej jest skonsolidowanie inteligencji, pochodzącej ze wsi dla wykonania pewnych konkretnych prac i zadań. Ostatni nr „Zogonu" przynosi sprawozdania z działalności poszczególnych Kół Zrzeszenia, zmierzającej do tworzenia burs dla młodzieży szkolnej ze wsi, prowadzenia uniwersytetów wiejskich ruchomych i t. zw. niedzielnych, różnego rodzaju kursów gospodarczych, bibliotek, czytelń itp. Artykuł literata wiejskiego Stan. Nędzy-Kubińca informuje o powstawaniu pod egidą Zrzeszenia Stałego Uniwersytetu Wiejskiego im. Jana Kasprowicza pod Zakopanem. Uniwersytet ten jest organizowany wysiłkiem miejscowej ludności góralskiej oraz inteligencji, zgrupowanej w Zrzeszeniu. Poza tym mamy ciekawy artykuł Stan. Janiaka pt. „Zlikwidować „pankowanie", przeciwstawiający się tworzeniu różnego rodzaju „elity", czy wyszukiwania pochodzenia szlacheckiego, prowadzi to — zdaniem autora — do najgorszego rodzaju szlachetczyzny, a także między innymi do rozbicia jedności masy chłopskiej, tak bardzo potrzebnej we wszelkiej pracy społecznej, czy oświatowej. Numer zamykają komunikaty Sekretariatu Gen. Zrzeszenia, z których wynika, że najbliższy Walny Zjazd Delegatów Kół Powiatowych Zrzeszenia odbędzie się nie w Warszawie, a w jednym z prowincjonalnych miast, przy czym w pierwszym rzędzie bierze się pod uwagę Kraków.

Z Polskiej Akademii Umiejętności. W poniedziałek, dn. 13 bm. odbyło się posiedzenie Wydziału Filologicznego Polskiej Akademii Umiejętności. Referat z pracy dr Zygmunta Markiewicza pt. „Grupa Medanu jako wyraz naturalizmu francuskiego" przedstawił prof. W. Folkierski, „Plan ogólnopolskiego atlasu językowego" (przedstawili prof. K. Nitsch i prof. M. Małecki), oraz Referat z pracy dr Tadeusza Mikulskiego pt. „Adam Czahrowski z Czahrował Portret literacki", przedstawił prof. Ign. Chrzanowski.

Subwencja na badania naukowe. Polska Akademia Umiejętności rozda w kwietniu b.r. z funduszu ś.p. Pawła Tyszkowskiego subwencje na rok 1939 na badania przyrodnicze i lekarskie, przede wszystkim mające łączność z poznaniem istoty choroby raka i chorób wenerycznych lub ich leczeniem. Zgłaszający się o subwencje powinni wykazać, iż umieją pracować samodzielnie naukowo i dołączyć spis, względnie odbitki prac już drukowanych. W podaniu podany być musi temat i plan zamierzonej pracy oraz kwota potrzebna do jej wykonania. Pierwszeństwo mają prace o charakterze doświadczalnym. W bardzo wyjątkowych wypadkach może Komitet zezwolić na wykonywanie pracy subwencjonowanej i za granicą, lecz subwencja nie może służyć na pokrycie kosztów podróży i utrzymania. Ubiegający się o subwencje mają wnosić podania do Polskiej Akademii Umiejętności do dnia 1 marca 1939. Subwencje mogą być przyznane tylko na podania bardzo silnie dotychczasowym dorobkiem naukowym petentów uzasadnione.

P.A.U. w sprawie Rady Ochrony Przyrody. Polska Akademia Umiejętności przedstawiła p. ministrowi Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. memoriał w sprawie potrzeby wznowienia działalności Rady Ochrony Przyrody.

Delegacja Uniwersytetu Sofijskiego w Warszawie. Dnia 8 br. senat Uniwersytetu Sofijskiego wybrał delegację z rektorem prof. dr Aleksandrem Staniszewem na czele, która uda się dn. 18 bm. do Warszawy w celu wręczenia Panu Prezydentowi R. P. dyplomu doktora honoris causa wszystkich wydziałów Uniwersytetu Sofijskiego.

Odznaczenie uczonego polskiego. Uniwersytet w Sofii nadał godność doktora honoris causa prof. Wacławowi Sierpińskiemu, prezesowi Towarzystwa Naukowego Warszawskiego za wielkie zasługi, położone przez niego dla nauki. Promocja doktorska naszego uczonego na uniwersytecie bułgarskim odbędzie się w Sofii w drugiej połowie maja rb. podczas uroczystości 50-lecia tego uniwersytetu.

Prof. Weigl w Abisynii. Prof. dr. Rudolf Weigl, twórca szczepionki przeciwtyfusowej, wyjechał na zaproszenie rządu włoskiego do Abisynii, celem zbadania tamtejszych rodzajów tyfusu i organizowania z nimi walki. Na profesora Weigla czekało w Addis Abebie przygotowane i odpowiednio wyposażone laboratorium, w którym przez dwa miesiące prowadzić będzie szczegółowe badania. Wraz z prof. Weiglem wyjechali ze Lwowa asystentka p. dr. Ana Henrzig i wyszkolony odpowiednio laborant, jest to więc rodzaj małej ekspedycji polskiej do Abisynii. Na miejscu w Addis Abebie współpracuje z prof. Weiglem uczony włoski prof. Mariani, który z wiosną ub. r. przebywał przez trzy miesiące we Lwowie, pracując pod kierunkiem prof. Weigla.

Polska misja archeologiczna w Egipcie. Prace polsko-francuskiej misji archeologicznej nad odkopaniem starożytnego miasta Apollonopolis Magna (teraz: Idfu) z 3 w. przed Chr. dobiegły końca. Prowadzono je w ciągu trzech kompanij (od 1936—37 zaczynając), ale właściwe prace wykopaliskowe trwały łącznie około 6 miesięcy, bowiem możliwość pracy w górnym Egipcie ograniczają bardzo znacznie panujące tam upały. Ogółem odkopano ok. 8.000 m kw. komu (wzgórza), na którym stało dawne Idfu. Grubość usuniętego pokładu ziemi wahała się od 5 do 10 m. Dopiero w r. b. udało się natrafić na dwie bramy w murach obronnych miasta. Pozatem odkopano w ciągu obecnej kampanii bardzo ciekawą „pracownię" rzeźbiarza.

Wykłady o języku polskim w Bordeaux. Jak już donosiliśmy, prof. Uniw. J. P. w Warszawie dr. Witold Doroszewski rozpoczął na uniwersytecie w Bordeaux cykl wykładów o języku polskim pod ogólnym tytułem: „La langue polonaise, ses aspects sociaux historiques" (Język polski, jego oblicze społeczne i historyczne). Wykłady prof. Doroszewskiego cieszą się dużym zainterewaniem sfer naukowych i młodzieży studiującej.

Konkurs na stypendia. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego ogłasza konkurs na 2 stycznia im. Borysa i Franciszki małżonków Łyków z zapisu Katarzyny z Łyków Gorbaczewiczowej w kwocie 657 zł każde na rok szkolny 1938/39 dla czyniących należyte postępy i wzorowo się sprawiujących uczniów (uczennic), kształcących się w jakimkolwiek żakładzie naukowym w Polsce a pochodzącyh z rodziny Łykowów lub Gorbaczewiczów. Podania należy składać do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w terminie do nia 1.IV. 1939 r.

Nowe odkrycie osady prasłowiańskiej. Podczas prac ziemnych w Dębcu (pod Poznaniem) natrafiono na ślady osady prasłowiańskiej. M. in. odkopano paleniska, szczątki naczyń itp. Pracami wykopaliskowymi kieruje z ramienia Muzeum prehistorycznego w Poznaniu dr. Karpińska.

Międzynarodowy kongres prasy katolickiej w Warszawie. W dniach 5 i 6 b. m. w Rzymie w siedzibie generalatu oo. assumpcjonistów odbyło się posiedzenie Międzynarodowego Biura Prasy Katolickiej, w którym m. in. uczestniczył z Polski ks. prałat Zygmunt Kaczyński, dyrektor KAP-wej. Na posiedzeniu postanowiono, że Międzynarodowy Kongres Prasy Katolickiej odbędzie się w Warszawie w dniach 11 — 12 września r. b.

Zofia Kossak-Szczucka i Karol Irzykowski w Bydgoszczy. „Piątki literackie", organizowane od paru lat przez bydgoską Radę Artystyczno-kulturalną, zyskują coraz liczniejszych słuchaczy, których często nie może już pomieścić obszerna aula gimnazjum im. Kopernika. Tak też było w „piątek", na którym wystąpiła Zofia Kossak-Szczucka. W głęboko ujętej i ze swadą wypowiedzianej prelekcji omówiła znakomita autorka dwa tematy. Pierwszy — to wrażenie i obserwacje prelegentki, poczynione w czasie jej podróży po Wołyniu, oglądanym po raz pierwszy od czasu odzyskania niepodległości. Przechodząc do zagadnienia twórczości literackiej i wpływu literatury na czytelnika i na tok wypadków historycznych, prelegentka scharakteryzowała złą i dobrą literaturę i wykazała w sposób przekonywujący, że dobrą i twórczą literaturą może być jedynie literatura narodowa i katolicka. Na następnym „piątku literackim" wystąpił wybitny krytyk Karol Irzykowski i mówił o „krytykowaniu" i to nie tylko w literaturze i sztuce, ale w życiu potocznym, publicznym i prywatnym.

Nowa wystawa w Salonie K. P. S. P. W salonie Komitetu Przyjaciół Sztuki Polskiej (Warszawa, Królewska 17) otwarto wystawę prac Stefanii Dybowskiej, Marii Kuleszyny, Ludomiły Lanżanki i Zofii Stankiewicz oraz ceramiki Wandy Rudzińskiej-Wypychowej.

Wystawa „Góry Polskie" w Zakopanem. Wicemin. inż. Bobkowski dokonał otwarcia wystawy obrazów „Góry Polskie", zorganizowanej przez Podhalański Zw. Zaw. Polskich Plastyków w Zakopanem z okazji zawodów F.I.S. W wystawie bierze udział 56 artystów, którzy nadesłali łącznie ponad 100 prac, ilustrujących piękno krajobrazu górskiego, przyczym przeważa krajobraz tatrzański. Wystawiają m. in. Jan Gąsienica-Szostak, Stanisław Gałek, Vlastimil Hoffman, St. Kamocki, T. Koniewicz, Marian Klaklik, Rafał Malczewski, St. Podgórski, Alfred Terlecki i inni.

Węgierski historyk sztuki w Warszawie. Do Warszawy przybył prof. dr Tibor Gerevich, komisarz wystawy sztuki węgierskiej, która w kwietniu r. b. zostanie otwarta w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie, a następnie przeniesiona będzie do Krakowa i ewentualnie do Wilna. Prof. Gerevich interesuje się żywo sztuką polską m. in. dłuższy czas studiował zbiory i zabytki muzeum ks. ks. Czartoryskich w Krakowie. Z okazji wystawy sztuki polskiej w Budapeszcie zamieścił dłuższy artykuł o rzeźbie polskiej w czasopiśmie „Magyar Muvereszet" w numerze poświęconym sztuce polskiej.

Konkurs architektoniczny. Na zlecenie Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych S.A.R.P. Oddział w Wilnie ogłasza Konkurs Powszechny na projekt szkicowy gmachu Inspektoratu Wojewódzkiego P. Z. U. W. w Wilnie. Nagrody wynoszą: I — 2.500 zł, II — 1.800 zł, III — 1.200 zł, zakup 600 zł. Termin składania prac — 1 marca 1939 r. Program i warunki Konkursu otrzymać można w P. Z. U. W. i we wszystkich Oddziałach S.A.R.P.

Stypendia im. J. Piłsudskiego. Zarząd fundacji stypendialnej im Józefa Piłsudskiego, przyznał 69 stypendiów (15 starych a 54 nowych), w tej liczbie 47 osób otrzymało stypendium po 800 zł (rocznie), 2 osoby po 600 zł, 10 osób po 400 zł, 2 osoby po 300 zł, 1 osoba 250 zł, 7 po 200 zł. Ogółem przyznano stypendiów na kwotę 45.050 zł. Zarząd fundacji przyznaje stypendia tylko sierotom po oficerach i szeregowych wojsk polskich, poległych w czasie wojny o niepodległość lub zmarłych po wojnie w związku przyczynowym z działaniami wojennymi, sierotom, znajdującym się w trudnej sytuacji materialnej, a uczęszczającym do szkół średnich ogólnokształcących, zawodowych i liceów pedagogicznych.

T-wo Przyjaciół Sztuki Tanecznej. W sali P. I. S. T. odbyło się pierwsze periodyczne zebranie członków, na którym w niezwykle licznym gronie omawiano program prac bieżących. Prezes Tow. P. Halina Szmolc-Fitelbergowa zreferowała program prac, a zwłaszcza sprawę urządzania w terminach conajmniej miesięcznych występów polskich sił tanecznych na scenach stołecznych. Pierwszy tego rodzaju pokaz odbył się dn. 12 bm. Ze strony młodzieży artystycznej wysunięto postulat, aby projektowany ośrodek informacyjno - naukowy przy Towarzystwie położył szczególny nacisk na udostępnienie źródeł wiadomości teoretycznych o sztuce tanecznej.

Nowe książki

(Nadesłane)

ADAM MICKIEWICZ: Dzieła wszystkie. Tom IX. Literatura słowiańska. Wykłady w Colège de France. Kurs drugi. Rok 1841 — 1842. Tekst zrekonstruował, przełożył i opracował Leon Płoszewski. Wydanie sejmowe. Skład Główny w Kasie im. Mianowskiego.

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA: Don Kichot z Manczy. Powieść. Tomy: I, II, III i IV-ty. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

ADOLF SOWIŃSKI: Gospoda zmierzchu. Poezje. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI: Szekspir katolikiem. Nakładem Tow. Naukowego we Lwowie.

PAMIĘTNIKI LEKARZY — Wydawnictwo Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Skład główny: Biblioteka Polska.

ROMAN DMOWSKI: 1864 — 1939. Życiorys, wspomnienia, zbiór fotografii. Poznań 1939.

MIECZYSŁAW POSTA: Piaski. Pamiętnik lekarza społecznego. Warszawa 1939. Tow. Wydawnicze „Rój".

ADOLF DYGASIŃSKI: Cudowne bajki. Wydanie III. Warszawa 1939. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska".

MIECZYSŁAW MAŁECKI: Język polski na południe od Karpat. (Spisz, Orawa, Czadeckie, wyspy językowe). Z 2 mapami. Gebethner i Wolf.

HENRYK MANN: Król Henryk IV na wyżynach sławy. Tow. Wyd. „Rój".

BRONISŁAW JERZY SABAT: Wiersze. Warszawa 1938.

MAURICE MAETERLINCK: Utwory liryczne wybrane. Przełożył Bronisław Sabat. Warszawa 1938.

BRONISŁAW JERZY SABAT: Z liryki francuskiej przekłady. Warszawa 1938.

C-te RENAUD PRZEŹDZIECKI: Wilno. Varsovie. Biblioteka Polska. (W języku francuskim. Z licznymi pięknymi ilustracjami).

BIBLIOTECZKA TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW JĘZYKA POLSKIEGO. Nr 11: Urywki Języka Ignacego Krasickiego. Według pierwszych druków. Gebethner i Wolff.

I. M. BOCHEŃSKI O. P. Główne zadanie inteligencji w świetle uchwał Synodu Plenarnego. Warszawa 1938. Nakładem Archidiecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej.

O. JACEK WORONIECKI O. P. Katolickość tomizmu. Warszawa 1938. Nakładem Archidiecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej.

KAROL GÓRSKI. Społeczny ustrój średniowiecza. Warszawa 1938. Nakładem Archidiecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej.

Katalog kartkowy

Bardzo pożyteczną pomoc zawodową dla wszystkich księgarni sortymentowych oraz dla kierowników bibliotek a również dla pracujących naukowo i wszystkich miłośników książek wydaje Związek Księgarzy Polskich. Jest to katalog kartkowy, rozsyłany co dziesięć dni, a podający dokładne informacje ze wszystkich dziedzin piśmiennictwa polskiego. Zamówienia na katalog zgłaszać należy pod adresem Związku Księgarzy Polskich (Warszawa, Kredytowa 10 m. 7).

Cykl wykładów dla inteligencji w Krakowie

Staraniem Akcji Katolickiej odbywają się obecnie w Krakowie wykłady naukowo religijne dla inteligencji z dziedziny historii Kościoła. Rozpoczęto je dn. 8 b. m. wykładem doc. Un. Jagiell. dra M. Heitzmana p. t. „Kościół wobec Odrodzenia i humanizmu". Przewidziane są następujące wykłady: dnia 15 b. m. dr St. Komornickiego — „Sztuka w życiu Kościoła", dn. 22 b. m. ks. dyr. dra Stanisława Bednarskiego T. J. — „Rzym a Wittemberga", dn. 1 marca ks. dra Jana Salamuchy, prof. U. J. — „Kościół a pozytywizm XIX wieku", dn. 8 marca dra Henryka Dembińskiego, prof. KUL — „Kościół a kierunek totalistyczny", dn. 15 marca ks. dziek. dra Wł. Wichra, prof. U. J. — „Kościół wobec wojen", dn. 22 marca ks. dr T. Glemma, prof. U. J. — „Rola Kościoła polskiego w historii chrześcijaństwa", dn. 29 marca ks. red. dra Jana Piwowarczyka — „Kościół jako rzecznik sprawiedliwości społecznej".

„Oświata i wychowanie"

Czasopismo to, wydawane nakładem Ministerstwa W. R. i O. P., przynosi w ostatnim zeszycie szczegółowe sprawozdanie z posiedzenia Państwowej Rady Oświecenia, następnie artykuł Jadwigi Michałowskiej o siódmej międzynarodowej konferencji oświecenia publicznego w Genewie, dalej szereg materiałów liczbowych ministerstwa i wreszcie kronikę prac ministerstwa oraz krajową i zagraniczną. Zeszyt zamyka przegląd czasopism pedagogicznych.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleje Jerozolimskie 37. Telefon: 998-44. sekretarz redakcji przyjmuje codziennie od 14 do 16.
PRENUMERATA w kraju: kwartalnie 3 zł 50 gr, półrocznie 7 zł rocznie 14 zł. za granicą: kwartalnie 4 zł 50 gr, półrocznie 9 zł rocznie 18 zł
CENY OGŁOSZEŃ: Ogłoszenia zwyczajne za miejsce wysokości 1 mm 1 szpalt. od stronicy siódmej 50 groszy. Miejsce zastrzeżone 25% drożej. Ogłoszenia cyfrowe i fantazyjne o 25% drożej. Nadesłane i opisy 60 groszy za mm.

Redaktor: **Adam Szczepanik.** Wydawca: **Karolina Brzosko.**

136 — Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, Warszawa, Okólnik 10, tel. 644-59 i 592-40

m nej 4/78k

http://rcin.org.pl